

WIELKA GRA

młodzieżowe pismo
oświaty niezależnej

WARSZAWA
WRZESIEŃ 1987

NR 5

OD REDAKCJI

Zanim przystąpiacie do lektury 5 numeru "WG" chcielibyśmy zasygnalizować dwie sprawy, którym w tym numerze poświęciliśmy więcej miejsca.

Pierwsza z nich to samorząd i sytuacja prawna ucznia w szkole. Od dwóch mniej więcej lat w ruchu samorządowym widać wyraźne ożywienie, które - o dziwo - zbiegło się z pewnymi gestami władz oświatowych w kierunku zmian prawnych i inspirowania działań samorządowych w szkołach. Chociaż motywacja obu stron jest zapewne różna, zaistniała sytuacja należy wykorzystać, gdyż problem jest niesłychanie ważny. Sprawom samorządu oraz tego co i jak można robić w szkole poświęcamy więc kilka artykułów w tym numerze i oczywiście jeszcze nieraz do nich wrócimy. Liczymy też na głosy czytelników.

Pojawia się też w bieżącym numerze cykl "Harcerstwem być..." stanowiący rozwinięcie artykułu Jana Dęta pod takim właśnie tytułem z numeru 2-go, a poświęcony rozważaniom nad dzisiejszym harcerstwem. Dlaczego w ogóle zajmujemy się harcerstwem, wyróżniając je tak spośród innych oficjalnych organizacji młodzieżowych? Skłonili nas do tego niewątpliwie fenomen harcerstwa. Fenomen powodujący niezwykłą żywotność tego ruchu i sprawiający, że choć dziś ZNP w powszechnym odbiorze jawi się jednoznacznie (i słusznie) jako organizacja skomunizowana, to je-

dnocześnie ruch harcerski wciąż przyciąga wielu młodych ludzi. Trafiają oni czasem do ambitnych środowisk, które pozostając w opozycji wobec władz (harcerskich i państwowych) starają się stworzyć sobie autentyczną szansę realizacji tych wartości, które tak pięknie sprawdziły się wielokrotnie w dziejach ruchu, a które wyrażone są w prawie harcerskim - tym autentycznym, nie skazonym komunistycznymi przeróbkami. W masie niżej dzisiejszego harcerstwa nurt ten jest ilościowo niewielki, lecz jego znaczenie jest - mimo licznych i poważnych słabości - na tyle duże, że nie można wobec niego pozostać obojętnym.

Mówienie o harcerstwie jest dla naszego pisma zadaniem o tyle niewdzięcznym, że czytelnikom "cywilnym" temat może się wydać egzotyczny lub obojętny, a z kolei wśród harcerzy wzbudza on czasem nadmierne emocje. Podejmując ten temat chcielibyśmy się zastanowić nad wartością, słabościami i szansami polskiego harcerstwa lat 80-tych, 90-tych, itd. Zaczęliśmy dyskusję od serii krytycznych artykułów dh. Dęta, należy jednak pamiętać, że prezentują one jeden z możliwych punktów widzenia. I chociaż z jego tezami nasza redakcja w zasadzie się zgadza, nie dają one oczywiście pełnego obrazu. To tylko jedna strona medalu. Od nieco innej strony pokazuje harcerstwo zamieszczony niżej reportaż ze służb harcerek podczas wizyty Papięsa. Jak więc jest naprawdę? Zapraszamy do dyskusji.

UCZEŃ jako strona i podmiot PRAWA

BARTOSZ
PIECZYSKI

SZKOLNEGO

Niedawno slyszalem trafne zdanie - "złota myśl": trzeba myśleć globalnie, ale działać lokalnie. Tłumacząc to na język naszych dzisiejszych potrzeb - trzeba myśleć kategoriami demokracji i praworządności w skali państwa i narodu (na przyszłość), ale działać w kierunku demokracji i samobrony społecznej w najbliższym otoczeniu, w szkole, uczelni, miejscu pracy (już dziś).

Czasem się mawia: PRL ma najlepsze na świecie prawodawstwo, ale najgorzej praktykę stosowania prawa. Może jest w tym racja - więc jeśli takie prawa istnieją, nic nam nie przeszkadza wybrać oryginalną a zarazem kłopotliwą dla władzy formę walki: perfekcjonistyczne respektowanie tych praw, bezwzględne korzystanie z nich, powoływanie się na nie przy każdej okazji. Żeby tak walczyć, trzeba czterech rzeczy:

- dobrej znajomości tych praw,
- umiejętności ich prezentowania, kiedy trzeba,
- umiejętności negocjowania, żeby były przestrzegane,
- konsekwencji w ich stosowaniu, uporu w ich egzekwowaniu.

* * *

Wszyscy młodzi ludzie w Polsce, w wieku od 7 do 15 lat mają status ucznia; odnosi się to również do większości młodzieży od 15 do 18 roku życia, a także znacznej części młodzieży starszej (studenci, słuchacze szkół pomaturalnych, kursów przysposobienia zawodowego itp.). Jeśli dobrze się przyjrzeć naszemu ustawodawstwu - młodzież ta traktowana jest jako niesamodzielna i państwo obciąża obowiązkami i uprawnieniami głównie rodziców i opiekunów, jako osoby odpowiedzialne za jej zdrowie i bezpieczeństwo, rozwój. Na tym tle spotykamy dość szczególny rodzaj

normodawstwa: dotyczący młodych ludzi właśnie wyłącznie jako uczniów. Odnoszą się do nich przepisy ogólne (zapis konstytucyjny o powszechności kształcenia), programy wychowawcze ("Główne kierunki i zadania w pracy wychowawczej szkół" MOiW 1963) jak i przepisy szczegółowe dotyczące przede wszystkim samorządności uczniów oraz działalności organizacji uczniowskich w szkole (zarządzenie MOiW w sprawie zasad działalności samorządu uczniowskiego z 8.IX.1982 r. oraz zarządzenie MOiW w sprawie współdziałania szkół z młodzieżowymi organizacjami ideowo-wychowawczymi i innymi organizacjami społecznymi z 1.II.1984 r.). Istnieją jeszcze liczne szczegółowe przepisy, które niejako "przy okazji" dotyczą spraw uczniowskich, ale nie będziemy tu o nich mówić, ponieważ na ogół powtarzają one sformułowania z przepisów ogólniejszych.

Uczniowie w Polsce (i chyba nie tylko) mają na ogół poczucie, że szkoła jest miejscem totalnego bezprawia. Samowola dykcji i nauczycieli, nieprecyzyjny system kontroli, oceniania i promocji, niesprawiedliwe i protekcyjnistyczne hierarchie "ważności" w szkole i poszczególnych klasach, niejasne kryteria stosowania kar i nagród, niewiadome i ustalane ad hoc granice między tym, co "wolno" i czego "nie wolno" - wszystko to stwarza poczucie bezradności wobec szkolnego prawa, które jest w rzeczywistości bezprawiem. Starożytni Rzymianie mawiali: "legibus idcirco omnes servimus, ut liberi esse possimus" - dlatego wszyscy służymy prawu, abyśmy mogli być wolni... No więc spróbujmy.

* * *

Na początek zajrzyjmy do dokumentu stanowiącego od pewnego czasu rodzaj ministerialnej Biblii. Są to już tu wspomniane "Główne kierunki i zadania wychowawcze szkół". W dziale VI tego dokumentu znaj-

CIĄG DALSZY NA STR. 2

DOKOŃCZENIE ZE STR. 1



dujemy takie np. wymagania adresowane do szkoły:

- eliminowanie z procesu dydaktyczno-wychowawczego nadmiernych sytuacji stresowych i nerwicogennych;

- różnicowanie wymagań dydaktycznych i wychowawczych w zależności od cech psychicznych i możliwości ucznia;

- prowadzenie obserwacji przebiegu rozwoju psychicznego dzieci i młodzieży, wykrywanie nieprawidłowości i ich przyczyn;

- udzielanie pomocy uczniom w kierowaniu przez nich własnym rozwojem, upowszechnianie wśród nich zasad samowychowania (...)

Już tych kilka zaleceń - gdyby były realizowane - wskazuje na to, że są możliwości, by szkoła stała się miejscem do "życia", a nie tylko do "uczęszczenia". Można i trzeba powołać się na ten przepis ilekroć szkoła, a zwłaszcza niektórzy dyrektorzy i nauczyciele demonstrują wobec uczniów swą przewartościę opartą wyłącznie na strachu: dwójki, "wyrzucenie", niepromowanie, karne prace, traktowanie wszystkich jak surowca do obróbki, brak zainteresowania indywidualnymi potrzebami i możliwościami poszczególnych osób, gaszenie inicjatywy i ignorowanie osobistych zainteresowań - to częste przeciwieństwa działania "pedagogów", stanowiące jawne łamanie prawa.

Czy istnieje możliwość powołania się na prawo, skorzystania z niego tak, żeby szkoła z wolną przekształcała się w instytucję służącą uczniowi a nie tylko przemieniącą go w przyszłego absolwenta? Myślę, że taka możliwość istnieje, pod warunkiem, że stworzy się w szkole organizację spełniającą rolę przedstawicielską i rolę rzecznika uczniów wobec władzy oświatowej. Taką organizacją może być samorząd uczniowski, jeśli jest powołany przez samych uczniów, przez nich kontrolowany oraz im a nie instytucjom służący na co dzień. Samorząd szkolny w Polsce ma znakomite i stare tradycje, ma też dobre - jak na nasze warunki polityczno-ustrojowe - ustawodawstwo prawne.

* * *

W 1982 roku, a więc już w stanie wojennym, ukazał się przepis, którego lwia część była wynegocjowana wcześniej z Ministerstwem Oświaty przez Krajową Komisję Koordynacyjną Oświaty i Wychowania NSZZ "Solidarność". Przepis ten (Zarządzenie MOiW z 8. IX 1982 r. w sprawie zasad działalności samorządu uczniowskiego, opublikowane w Dzienniku Urzędowym MOiW nr 111 poz. 109) - należy do najlepszych i najliberalniejszych dokumentów normatywnych w historii naszej oświaty, licząc w tym także okres międzywojenny... Dziwne, ale prawdziwe. Nie zamierzam tu streszczać ani przepisować tego zarządzenia. W każdej szkole jest prenumerowany Dziennik Urzędowy MOiW. "Samorządowcy" jeśli chcą, zawsze

mogą doń zajrzeć, najlepiej odbić sobie tekst na ksero, żeby go mieć pod ręką.

Jeśli zaś zajrzą, zdziwią się: oto wśród celów samorządu na pierwszym miejscu wymienia się: "uczestnictwo uczniów w samodzielnym rozwiązywaniu własnych problemów oraz partnerstwo w stosunkach uczniów z nauczycielami..."

Wśród "zadań" samorządu znajduje się: "przedstawianie władzom szkoły opinii i potrzeb koleżanek i kolegów, spełnianie wobec tych władz rzecznictwa interesów ogółu społeczności uczniowskiej". A już to, co zalicza się do "uprawnień" wskazuje, że współautorzy przepisu rozumieli samorząd jako rzeczywistą autonomiczną organizację wszystkich uczniów, reprezentującą w sposób demokratyczny wyborców, jako współzarządzającego i współgospodarującego szkoła, mającego uprawnienia nie tylko przedstawicielskie, ale i interwencyjne, opiniodawcze, wnioskodawcze, współkontrolujące i współoceniające.

Interesujące jest zwłaszcza to, co w § 7.1. określa się jako obowiązki szkoły wobec samorządu: "Udzielanie pomocy", "zapoznajwanie", "zapewnienie warunków", "wysłuchiwanie i wykorzystywanie opinii" itp. Warto zwrócić uwagę na to, że ten sam przepis zawierający uprawnienia i obowiązki samorządu uczniowskiego jest zarazem adresowany do nauczycieli i władz szkolnych, określając ich obowiązki wobec młodzieży, może więc stać się podstawą do rozważań, jakie młodzież i jej przedstawicielstwa zgłaszają wobec dyrekcji czy rady pedagogicznej.

Bardziej szczegółowe prawa i obowiązki uczniów reguluje tzw. "Kodeks Ucznia". Obecnie obowiązujący - siedzi już "na walizkach". Prawdopodobnie - jak podała prasa - zostanie poważnie znowelizowany od półrocza 1987/88. Myślę, że warto będzie się nim zająć dopiero wówczas, gdy będziemy dysponowali obowiązującym i opublikowanym tekstem. Dotychczasowy kodeks jeszcze formalnie istnieje, ale służy już nie jako zbiór praw, co raczej jako chłopiec do bicia. Nie warto się więc nim zajmować jesienią 1987 r. na kilka miesięcy przed jego niesławnym zgonem.

Warto jednak zająć się czymś innym, bardziej praktycznym. Chcę więc przedstawić Wam kilka praktycznych rad: jak postępować z tymi prawami, żeby coś w szkole wywalczyć, czemuś zapobiec, coś przełamać.

* * *

Przed wszystkim - postarać się o pełne teksty wspomnianych zarządzeń. Trzeba je znać. Trzeba się na nie powoływać z precyzyjnym zapisem nazwy, daty zarządzenia, odpowiedniego paragrafu i punktu. Trzeba znaleźć formę zaprezentowania swojej znajomości prawa.

Prezentowanie przepisu może odbywać się w trojaki sposób. Jeśli jest wynikiem dyskusji na zebraniu np. samorządu czy jakiegokolwiek innego formalnie istniejącego w szkole zespołu uczniów, wówczas przybiera postać uchwały tego zebrania, z której tekstem drogą służbową zapoznawana jest dyrekcja lub rada pedagogiczna. Powołanie się na normę (pamiętać o dokładnym zapisie!) pełni tu rolę podstawy prawnej. Ogromnie wzmacnia to Waszą uchwałę, wskazuje bowiem, że działacie nie według swego widziemia, ale Wasze intencje i zamiary, lub pretensje czy protesty są zgodne z intencjami ministerstwa... Niewielu jest dyrektorów, którzy odważą się zignorować taki fakt.

Po drugie, jeśli pod adresem dyrekcji lub rady pedagogicznej kierujecie list zbiorowy, petycję, wniosek, podanie, prośbę czy apel - a autorem jest nieformalna grupa uczniów, lub nawet pojedyncza osoba - wówczas powołanie się na przepis nadaje temu tekstowi charakter urzędowy. Nikt nie może powiedzieć, że nie musi zareagować na "jakieś tam pismo", jeżeli będzie to pismo powołujące się na normy prawne.

Po trzecie, jeśli prowadzicie z dyrekcją czy nauczycielami rozmowy (negocjacje) w sprawach, które są dla Was ważne, ale które trzeba dopiero wywalczyć, wówczas przepisy należy mieć na stole: przywołane we właściwym momencie stanowią koronny argument za Waszą racją. Niezręczność jest władzy szkolnej wobec uczniów powiedzieć, że "olewa" sobie przepisy państwowe... Jeśli nawet tego chce, to musi się przed Wami tłumaczyć "warunkami obiektywnymi" - wówczas uzyskujecie przewagę, możecie wytyczać coraz to nowsze argumenty za Waszą sprawą.

Myślę, że całości spraw związanych z prawem uczniowskim nie da się zamknąć w ramach jednego artykułu. Myślę, że zarówno do samych norm (nowy Kodeks Ucznia), jak i do ich praktycznego stosowania przez Was trzeba będzie jeszcze nieraz wrócić.

Bartosz Pieczyński

Co można robić w szkole

Czasami zdarza mi się zastanawiać nad tak postawionym pytaniem i mimo tego, że zazwyczaj nie zdrażam objawów psychopatologicznych, w tym jednym przypadku obserwuje u siebie wyraźne symptomy rozważenia jaźni.

Wszystko zaczyna się całkiem zwyczajnie:

- Nie ulega wątpliwości - myślę sobie - że bzdura byłoby traktowanie szkoły wyłącznie jako miejsca, gdzie pobiera się naukę. Należy bronić się przed jej ogłupiającym działaniem i próbować rozwijać własną indywidualność korzystając ze środowiska, jakie tworzy społeczność szkolna...

- Chwileczkę - tu pojawia się moje drugie "ja" - pozwól, że ci przerwę. Po pierwsze twoje słownictwo dziwnie przypomina mi dziennik telewizyjny, a po drugie - czy mogłobyś mi wytłumaczyć jak sobie wyobrażasz "rozwijanie własnej indywidualności przy wykorzystaniu środowiska jakie tworzy społeczność szkolna"?

- Oczywiście. Pomysłów na to, co można robić w szkole jest cała masa, tym bardziej, że ostatnio większość dyrekcji warszawskich szkół jest liberalna i pozwala na bardzo wiele.

- Dobra, dobra... Konkret.

- Już ci mówię: gazetki szkolne, radiowęzły, działalność samokształceniowa, spotkania z ciekawymi ludźmi, kółka teatralne, działalność plastyczna, video, no i chyba najważniejsze - samorząd.

CZYLI SCHIZOFRENKA

- Ale co ci daje samorząd?

- Uczy demokracji.

- Czego?!

- Demokracji.

- Nie wiem, czy wiesz, że w co najmniej połowie liceów warszawskich ani wybory, ani działalność samorządów nie ma nic wspólnego z demokracją (bardzo często samorzady same nie wiedzą w jaki sposób zostały wybrane). Nawet tam, gdzie istnieją przepisy zmuszające do działania w sposób demokratyczny, obchodzi się je, ponieważ trzeba np. podjąć ważną decyzję a nie ma *quorum*. Przecież tego nie można nazwać nawet demokracją socjalistyczną.

- Przesadzasz. A po drugie już sam fakt istnienia demokratycznych przepisów jest nauką demokracji.

- Fakt istnienia dobrego programu nauczania języka polskiego nie oznacza wcale, że po skończeniu szkoły będzie się go uniało.

- To jest demagogia. Wróćmy może do samorządu. Już same wybory do niego są okazją do "ruszenia" szkoły. Przy okazji wyborów można i należy pokazać wszystkim, że w szkole można robić także coś innego, niż tylko się uczyć, zainteresować ich tym, co się dzieje na terenie szkoły. Świetnie to było zrobione w ubiegłym roku w "Reju": plakaty, ulotki, wiece przedwyborcze, spotkania z kandydatami itd.

- Wszystko to pięknie, tylko, że ja ci mogę pokazać co najmniej kilka takich szkół, w których zrobienie dobrej kampanii wyborczej było pierwszą i ostatnią rzeczą, jaką zrobił samorząd i bardzo dużo takich, w których kampanii wyborczych praktycznie nie było.

- To nie jest żaden argument. A poza tym najważniejsze jest to, co samorząd zacznie robić, gdy już zostanie wybrany.

- Oczywiście. I tutaj dochodzimy do sedna sprawy. Bo problem nie leży w braku pomysłów (kilka najbardziej popularnych już wymieniliśmy) ale w tym, kto je będzie realizował. Dzięki "genialnym", powstałym na początku stanu wojennego, koncepcjom głoszącym konieczność powstania pustki kulturalnych na terenach szkół, przeciwny uczeń zaczął stan pustki odbierać jako normalny i nie odczuwa potrzeby jakiegokolwiek działania w szkole.

- No i właśnie samorząd powinien mu uświadomić taką potrzebę.

- Ale w jaki sposób? Przecież do tego, żeby zrobić gazetkę szkolną trzeba kilku zapaleńców z dobrymi pomysłami, bo przecież ta gazetka musi być na przyzwoitym poziomie. To samo z każdym innym pomysłem (może z wyjątkiem projekcji video, do których potrzebny jest jeden szaleniec, który udostępni swój sprzęt). I co? Każdym takim pomysłem powinni się zajmować osobiście ludzie z samorządu?

- Oczywiście, że nie. Oni powinni tylko znajdować takich zapaleńców i pomagać im w realizacji pomysłów od strony technicznej. A poza tym to, co powiedziałeś o gazetce szkolnej, nie jest prawdą. W "Lelawelu" dwa lata temu pojawiła się gazetka, która powstawała w ten sposób, że każdy mógł tam powiesić, co chciał, pod warunkiem, że tekst był

podpisany imieniem i nazwiskiem.

- Wyjątek potwierdzający regułę.

- Nie będę się z tobą kłócił. Wróćmy może do samorządu. Dla mnie nie ulega wątpliwości, że samorząd jest w szkole potrzebny.

- Komu? Dyrekcji, żeby się mogła pochwalić w kuratorium.

- To zwykle przesadzasz. Potrzebny jest przeciętnemu uczniowi. Ma mu pomóc w tym, żeby nie stracił tych kilku lat, które spędza w szkole, ma go bronić, zaproponować ciekawy sposób spędzenia czasu po lekcjach.

- To powiedz mi, jakie jest w szkołach zainteresowanie działalnością samorządów?

- To, że jest ono prawie zerowe, świadczy tylko o tym, że konkretni ludzie badacy w konkretnych samorządach nie potrafili zaproponować nic ciekawego.

- Ale jeżeli dzieje się tak w większości szkół, to świadczy to chyba także o czymś więcej.

- Tak, ale zrozum, że do prowadzenia działalności na terenie szkoły potrzebne są nie tylko chęci, ale i środowisko - grupa ludzi, którzy chcą coś zrobić razem. Bycie w takiej grupie daje poczucie siły i łatwość działania.

- Oczywiście, zauważ jednak, że tworzy się tutaj błędne koło. Jeżeli w szkole nie ma środowiska, to samorząd, nawet gdy powstanie, i tak nic nie zrobi, a jeżeli jest środowisko, to samorząd nie jest potrzebny, żeby w szkole coś zrobić.

DWUGŁOS O SAMORZĄDZIE

- To jest czysta demagogia. Często spotykam się z pytaniem, czy najpierw tworzyć środowisko, czy samorząd, ale moim zdaniem jest to tworzenie sztucznych problemów. Wszystko zależy od sytuacji. Samorząd może, choć oczywiście nie musi, być środkiem wokół którego powstanie jakieś środowisko. Ale "środowiskotwórcze" mogą być także inne inicjatywy: gazetka szkolna, radiowęzeł. Świetnym pomysłem jest stworzenie wewnętrznego regulaminu szkolnego.

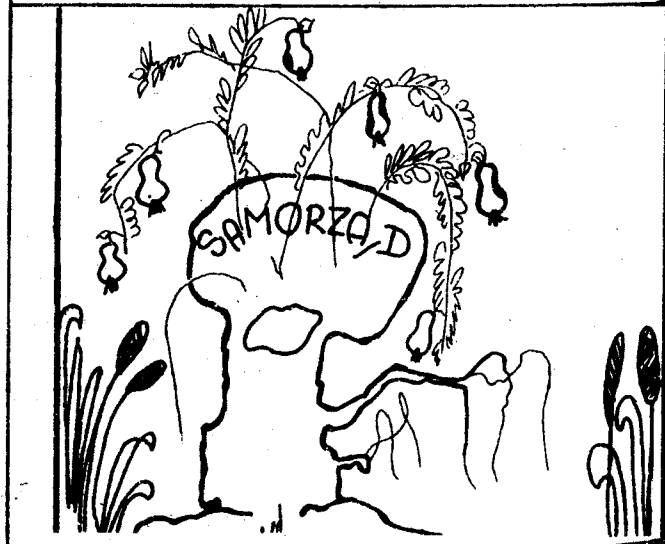
W kilku warszawskich szkołach regulaminy takie istnieją i sam proces ich powstawania bardzo pomógł w stworzeniu środowiska. Można także zorganizować kółko teatralne, robić wieczory poezji. Pomysłów jest zresztą jeszcze dużo. W każdym razie coś trzeba zrobić. Środowisko nie tworzy się samo, do jego powstania potrzebny jest jakiś pretekst, potrzeba dwóch, trzech osób, które zainicjują i potrafią w to, co robią wciągnąć ludzi mających coś do przekazania innym. A tacy znajdują się w każdej szkole. Często są oni bardzo niepozorni i trzeba włożyć trochę wysiłku, by ich odnaleźć. Można, a wręcz należy wykorzystywać nauczycieli, ponieważ - na szczęście - jeszcze nie wszyscy z nich traktują szkołę tylko jak zakład pracy. Naprawdę, żeby w szkole robić coś więcej poza pobieraniem nauki, trzeba tylko chcieć.

W tym miejscu moje "ja" optymistyczne, wyraźnie zmezone, milknie, natomiast "ja" sceptyczne, które zawsze musi mieć ostatnie zdanie kończy:

- Niestety, nie przekonałeś mnie. To wszystko wygląda tak pięknie tylko w teorii, w praktyce jest zupełnie inaczej.

I już sam nie wiem: jestem, czy nie jestem przekonany.

AND



Z nowym rokiem

Jak pewnie zauważyliście, zaczął się nowy rok szkolny. Postanowiłem więc dowiedzieć się co nam na ten rok zaordynowała pani Minister Gumowska. Przeczytałem w tym celu Instrukcję w sprawie organizacji kształcenia i wychowania w roku szkolnym 1987/88 stanowiącą załącznik do zarządzenia Ministra Oświaty i Wychowania z dnia 31 marca 1987 roku. I chociaż w zamieszczonym wyżej artykule Bartosz Pieczyński słusznie zauważa, że podstawowe dokumenty regulujące życie szkolne są na ogół w szkołach dostępne, postanowiłem jednak podzielić się z czytelnikami "WG" swoimi wrażeniami z tej lektury. Chciałbym po prostu zwrócić uwagę na niektóre fragmenty owej instrukcji, zwłaszcza te dotyczące spraw najczęściej ostatnio dyskutowanych.

Przede wszystkim zainteresowałem się tym, jakie są, w rozumieniu ministerstwa, główne zadania szkół. Mówi o tym I rozdział instrukcji pod takim właśnie tytułem: "Główne zadania w pracy szkół i innych placówek oświatowo-wychowawczych". W pierwszym punkcie tego rozdziału wymienione są główne zadania "w zakresie działalności wychowawczej". Hierarchia ważności owych zadań wydaje mi się dość charakterystyczna. Otóż na pierwszym miejscu - a więc jako najważniejsze - wymieniono dążenie do: *umacniania socjalistycznego i świeckiego charakteru szkoły*.

Kilka następnych punktów określa takie oto ważne zadania: inspirowanie dyskusji o realizacji uchwał X zjazdu PZPR, zapoznanie z pokojowymi inicjatywami Polski, ZSRR i innych krajów socjalistycznych, upowszechnianie przyjaźni polsko-radzieckiej, aktywizacja szkolnych kół TPPR.

Pewien zamęt w myśleniu wprowadza początek piątego podpunktu w tych zaleceniach. Czytamy tam, że należy dążyć do: *popularyzowania historii ořeza polskiego* i *postępowych tradycji narodowych*. Widzę tu pewną sprzeczność z poprzednim zaleceniem mogąca powodować rozterki - bo np. zajęcia Moskwy przez Żółkiewskiego albo Wilna przez Żeligowskiego, to niewątpliwie historia ořeza polskiego, ale czy to aby - w rozumieniu ministerstwa - postępowe tradycje narodowe? Ciekawe jak to oceniają uczniowie?

Dalsza część tego zalecenia jest już jednoznaczna i nabiera szczególnej wymowy w świetle rosnącej w ostatnich latach popularności idei głoszonych przez "WiP" i sukcesów tego ruchu. Ministerstwo zaleca więc dążenie do: *upowszechniania potrzeby umacniania obronności państwa i spełniania patriotycznego obowiązku odbywania służby wojskowej oraz poszerzania zainteresowań zawodową służbą wojskową*. Czyżby więc szkoła kontra "WiP"?

Interesujące jest zwłaszcza nakłanianie do zawodowej służby wojskowej. Ponieważ, poza nauczycielstwem, jest to jedyny zawód konkretnie wskazany do proponowania młodzieży wiemy już kto według MOiW jest Polsce szczególnie potrzebny.

Dopiero dalsze, a więc jak można sądzić mniej ważne, pozycje na liście głównych zadań wychowawczych zajmują takie sprawy jak: *kształtowanie postaw proinnowacyjnych*, *modernizowanie i uatrakcyjnianie zajęć pozalekcyjnych*, *udzielanie wszechstronnej pomocy młodzieżowym organizacjom ideowo-wychowawczym*, *zwiększanie udziału młodzieży w pracy społecznie użytecznej* etc. etc.

Należy może odnotować jeszcze jeden punkt, na który warto się czasem powołać. Otóż ministerstwo zaleca dążenie do: *wspierania i inspirowania samorządnych działań zespołów uczniowskich w szkołach i internatach, oraz poszerzania zakresu ich odpowiedzialności*.

W punkcie drugim tego rozdziału, gdzie mowa o *działalności kształcacej* godne pochwały jest zwrócenie uwagi na: *poszukiwanie nowoczesnych form i metod edukacji historycznej, prawnej i ekonomicznej*. Ale już gdy chodzi o metody lecz treści nauczania minister zaleca: *wielostronne hospitowanie pracy nauczycieli, zwracanie uwagi na właściwą interpretację treści kształcenia*. Chwalebna troska, powstaje tylko pytanie kto i według jakich kryteriów będzie oceniał prawidłowość interpretacji.

Drugi rozdział instrukcji mówi o *zadaniach organizacyjno-programowych w prowadzeniu i nadzorowaniu szkół*. Chciałbym zwrócić uwagę na niektóre tylko sprawy.

Konsekwentnie, niestety, jest wcielana w życie obłędna koncepcja praktyk dla uczniów. Wprowadza się obowiązkowe praktyki w klasach VI i VII szkół podstawowych, oceniane tak, jak inne przedmioty. Kiedyś, co prawda, uczono mnie w socjalistycznej

nowym (?) krokiem



DZIENNIK URZĘDOWY MINISTERSTWA OŚWIATY I WYCHOWANIA

Warszawa, dnia 31 marca 1987 r.

Nr 2

szkole, że zlikwidowanie pracy nieletnich to jedno z ważnych osiągnięć naszego przodującego ustroju, ale, jak widać, wszystko jest względne. "Coca-Cola" też była kiedyś wrogiem klasowym. Zreszta nas, białych Murzynów, nic już nie powinno dziwić, zwłaszcza gdy chodzi o pracę. Nasze prawa wszak wciąż się rozwijają - nie tak dawno przecież, w odróżnieniu od kapitalistycznego bezrobocia, prawo do pracy zastąpiono nam przynusem pracy. Dziwny to, co prawda, sposób na uczenie szacunku do pracy, ale widocznie nie musimy odróżniać szacunku od strachu. Choćby przed dwójką w szkole.

Trochę lepiej jest w szkołach średnich. I tam wprowadza się praktyki, ale jeszcze nie wszędzie (choć według instrukcji należy do tego dążyć) i nie mają być one oceniane stopniami, lecz tylko zaliczane lub nie, przy czym - co warto wiedzieć - niezaliczenie nie może wpływać na promocję. To samo dotyczy także przedmiotów uzupełniających, takich jak np. osławione już religioznawstwo (również wtedy gdy jest obowiązkowe).

I na koniec sprawa lekcji w soboty. Zasada pięciodniowego tygodnia zajęć jest już oficjalnie zlamana. Punkt 2 rozdziału V mówi między innymi, że: *"W zależności od warunków szkoły rozkład zajęć dydaktyczno-wychowawczych może być realizowany w pięciu lub sześciu dniach tygodnia..."* Szkoły, w których tzw. "współczynnik zmianowości" przekracza 2 mają obligatoryjny sześciodniowy plan zajęć. Warto natomiast wiedzieć, że według instrukcji ministerstwa *"rady pedagogiczne pozostałych szkół decydują o organizacji tygodnia pracy we własnym zakresie, uzgadniając decyzje z samorządem uczniowskim, organizacjami młodzieżowymi działającymi na terenie szkoły, Komitetem rodzicielskim oraz właściwym ogniwem Związku Nauczycielstwa Polskiego..."* [podkr. M.W.]. Otwiera się więc tu pole do działania dla samorządów lub np. rad szczepów harcerskich. Macie prawo nie zgodzić się na lekcje w soboty.

Do czego gorąco na koniec namawiam.

M. W.



komputerowy PO CO W SZKOLE KOMPUTER?

Zanim podejmiemy próbę udzielenia odpowiedzi na zawarte w tytule pytanie, musimy choć w ogromnym przybliżeniu uświadomić sobie możliwości tego sprzętu mikrokomputerowego, który upowszechnia się obecnie w polskich szkołach. Nie wdając się w spory na temat, który model mikrokomputera najlepiej nadaje się do celów dydaktyki, spróbujemy odpowiedzieć na pytanie, jakie są zalety mikrokomputera jako "maszyny do uczenia".

Co może komputer ?

- WYSWIETLAC NA EKRANIE NAPISY LUB OBRAZY
Podobnie jak w video i telewizji na ekranie komputerowego monitora mogą być wyświetlane dowolne napisy lub obrazy. Jakość obrazów jest zwykle zdecydowanie gorsza niż w TV, kinie czy na video, są to w zasadzie rysunki kreskowe wykonane w kilku do kilkunastu kolorach, nie jest także możliwe przedstawienie wiernego obrazu fotograficznego.

- DRUKOWAC
Napisy i rysunki mogą zostać przeniesione na papier przy pomocy specjalnej drukarki (najlepszym przykładem niech będzie nasza gazeta, która obecnie składana jest przy pomocy komputera).

CIĄG DALSZY NA STR. 6

DOKOŃCZENIE ZE STR. 4

- ZAGRAĆ I PRZEMOWIĆ

Dzięki wbudowanemu syntezatorowi mikrokomputer może zagrać dowolną jednogłosową (w niektórych modelach także wielogłosową) melodię. Odpowiedni program może przekształcić nasz mikrokomputer w mini-organy, a specjalna przystawka umożliwia również mniej lub bardziej udaną syntezę mowy ludzkiej.

- WŁĄCZYĆ I WYŁĄCZYĆ MAGNETOFON

Za pośrednictwem prostego stosunkowo układu mikrokomputer może sterować różnym dodatkowym sprzętem audiowizualnym lub innym urządzeniem elektrycznym.

- PRZYJĄC OD NAS INFORMACJE

W czasie trwania programu edukacyjnego do naszego komputera możemy "przemawiać" za pośrednictwem klawiatury, "joysticka", lub tzw. "pióra świetlnego" czy "myszy".

- OBLICZYĆ

Wykonać bardzo szybko skomplikowane obliczenia, podstawić wprowadzone dane do wzoru itp.

- PORÓWNAĆ I OCENIĆ

Jeżeli przez program edukacyjny zostało zadane nam jakieś pytanie, komputer po przyjęciu odpowiedzi (tekstu - np. nazwiska; liczby - np. wyniku zadania z fizyki czy daty jakiegos wydarzenia historycznego) może porównać ją z zapisaną w programie odpowiedzią prawidłową i oceniając ją poinformować nas czy jest poprawna czy błędna i na czym polega nasz błąd.

- "INTELIGENTNIE" ZAREAGOWAĆ

Nie tylko przyjąć do wiadomości naszą odpowiedź czy decyzję i ocenić ją, lecz także "inteligentnie" na nią zareagować - np. dając wskazówkę ułatwiającą rozwiązanie zadania, zadać szereg pytań pomocniczych lub w opowiedzi na nasze posunięcie wykonać samodzielny ruch w grze w szachy (umiejętność gry w szachy jest dla laika najlepszym chyba przykładem zdolności do samodzielnego "myślenia" i podejmowania decyzji przez komputer).

Zawodowi informatycy mogliby oburzać się, że takie ukazanie możliwości współczesnego sprzętu mikrokomputerowego jest poważnym spłyceniem tego tematu. Pewnie w jakimś stopniu mają rację, lecz dla dydaktyka te właśnie podstawowe funkcje są najistotniejsze. Na nich opiera się faktycznie każdy program edukacyjny, one też decydują o przydatności mikrokomputera w nauczaniu.

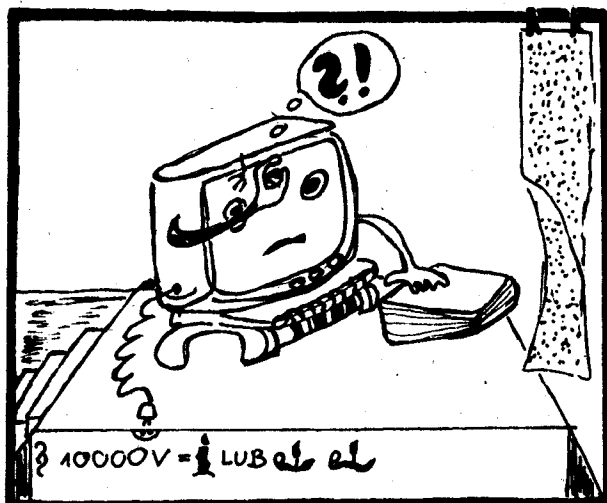
Przyglądając się tej sporządzonej przed chwilą liście "umiejętności" współczesnego mikrokomputera nie sposób nie zauważyć, że dla nauczyciela komputer może być - i powinien - znacznie cenniejszym narzędziem niż doskonale znane nam magnetofon, telewizor, rzutnik pisma czy przeźroczny, projektor filmowy, a nawet odtwarzacz video. Te ostatnie umożliwiają bowiem tylko odtwarzanie wcześniej przygotowanego materiału. Film, sluchowisko, cykl przeźroczny, nie poparte specjalnymi zabiegami nauczyciela stawiają ucznia w pozycji biernego obserwatora. Jedynymi praktycznie formami aktywnego udziału w projekcji filmu fabularnego czy sztuki teatralnej może być zaciskanie kciuków, a podczas nagranych na taśmie magnetofonowej lub kasecie video lekcji języka obcego języka - powtarzanie różnych słówek i zwrotów.

Zupełnie inaczej w przypadku komputera i dobrego programu edukacyjnego. Przez oczekiwanie na podjęcie decyzji czy odpowiedź na zadane pytanie program wymusza na odbiorcy czynne uczestnictwo, zaangażowanie w to, co się dzieje na ekranie. Nie pozwala na zaśnięcie, pogrążenie się w błogiej beztrosce. Co więcej, umożliwia odbiorcy współdecydowanie o przebiegu programu. Nie musi on mieć stałego, niezmiennego scenariusza (jak film czy audycja, które podczas każdego kolejnego odtwarzania będą miały zawsze identyczny przebieg). Reaguje na decyzje ucznia, zależnie od jego umiejętności sam dobiera trudność kolejnych zadań, analizuje popełniane błędy.

Ogromne powodzenie prymitywnych na ogół gier komputerowych wynika chyba w znacznym stopniu z tej właśnie cechy dobrego programu "rozrywkowego". Młodzi ludzie w Polsce mają dość biernego gapienia się w telewizor, słuchania beznadziejnie nudnych, stereotypowych wykładów w szkole i na uniwersytecie. Chca o czymś samodzielnie decydować, spraw-

dzić swoją zdolność przewidywania, wiedzy i refleksji. Nawet jeśli podejmowane przez nich decyzje dotyczą wyłącznie świata fikcji, a wielogodzinne starania i kalkulacje pozwolą zapobiec głodu w wymyślanym komputerlandzie czy uratować komputerową księżniczkę z łap komputerowego czarno-księżnika.

Ostatnią unikalną cechą programu komputerowego, którą chciałbym dziś podkreślić, jest jego przy-



datność w samokształceniu. Mikrokomputer jest urządzeniem mogącym oddać nam nieocenione usługi w indywidualnej nauce. Ucząc się z pomocą dobrego programu edukacyjnego możemy korzystać z doświadczeń wybitnych fachowców-dydaktyków z wielu dziedzin. W czasie trwania programu jesteśmy na bieżąco oceniani (bez żadnych uprzedzeń, złośliwości czy protekcji). Bez udziału nauczyciela czy korepetytora możemy być pewni (o ile mamy przekonanie, że program jaki wykorzystujemy nie jest dydaktycznym knotem), że nie wyrobimy sobie nieprawidłowych odruchów, nie będziemy systematycznie powtarzać tego samego błędu. Dobrze skonstruowany program testujący upewni nas czy dobrze zrozumieliśmy przerabiany materiał.

Wiele lat temu, na przełomie wieków, ukazywało się wielotomowe wydawnictwo "Podręcznik samouka". Składały się nań popularne, choć przygotowane przez najbliższych polskich uczonych tamtych lat, podręczniki mające w swym założeniu ułatwić samodzielne studiowanie różnych dziedzin wiedzy (przede wszystkim nauk ścisłych). Podręczniki te adresowane były do osób, które z różnych powodów nie mogły podjąć systematycznej nauki na uniwersytecie.

Obecnie podobna rola jak ówczesny "Podręcznik samouka" spełniać by mogły przygotowane przez fachowców-dydaktyków i specjalistów z różnych dziedzin wiedzy - cykle programów edukacyjnych napisane na popularne w Polsce typy mikrokomputerów. Gdyby takie programy powstały, to wyobrażam sobie, że mogłyby z powodzeniem służyć:

- przygotowującym się do egzaminów wstępnych na wyższe uczelnie (zwłaszcza uczniom, którzy nie z własnej winy uczęszczają do kiepskiej szkoły średniej);

- uczniom i nauczycielom w szkołach do przedstawienia czy odmiennego nasświetlenia tematów, które w szkolnych programach i podręcznikach są pomijane lub ukazywane tendencyjnie;

- jako narzędzie nauki własnej ucznia w domu, szczególnie np. w przypadku matematyki w młodszych klasach szkoły podstawowej - przedmiotu, który w obecnym kształcie sprawia wiele kłopotu dzieciom i naradza rodziców na wielkie wydatki związane z korepetycjami;

- wreszcie wszystkim tym, którzy nie mając możliwości kontynuowania nauki w oficjalnej szkole, chcieliby nadal kształcić się, studiować systematycznie jakąś dziedzinę wiedzy.

Dziś nie istnieją właściwie programy edukacyjne, które mogłyby z powodzeniem służyć realną pomocą w

CIĄG DALSZY NA STR. 6

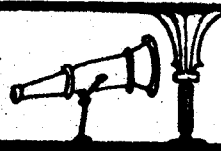
DOKOŃCZENIE ZE STR. 5

nauce szkolnej i samokształceniu. Ich opracowanie wymagałoby współpracy wielu ludzi - dydaktyków, uczonych z różnych dziedzin wiedzy, informatyków. Wyśitek taki jest jednak warty podjęcia. Powinniśmy go podjąć dla siebie i naszych dzieci. Jak mawia Stefan Bratkowski: SAMI SOBIE. Nie oglądając się na posunięcia władz oświatowych. Każdy dobry program edukacyjny, jak niezależna książka, niezależna gazetka, krząć będzie po Polsce w tysiącach kopii, używany będzie w dziesiątkach szkół. Może warto aby inicjatywa w tym kierunku podjęły środowiska oświaty niezależnej?

<kosp>

KOMPUTERY W SZKOLE ~ Z SERWISU nr 100

Komputeryzacja także w szkołach, tymczasem brak środków do realizacji zwykłych (nie komputerowych) programów. Ostatnio objęto badaniami 16 tys. uczniów klas czwartych w woj. wrocławskim. Okazało się, że co dziesiąte dziecko, a na wsł: co szóste, nie rozumiało tego co czytało, nawet po kilkakrotnym przeczytaniu tekstu. Elementarny sprawdzian z matematyki zaliczyło tylko 43% uczniów. W Toruniu podobny test zaliczyło 30% uczniów szkół podstawowych. W Łódzkiem - prosty test z elementów literatury zaliczyło 70% badanych, uczniowie mieli kłopoty z odróżnieniem wiersza od prozy, rozpoznaniem rymów itd. (MAI)



SZTUKA

PATRZENIA



spotknie trzecie

Zgubny wpływ polityki na sztukę trudno jest dostrzec obserwatorowi z zewnątrz. Jednak żyjąc w naszym kraju powinniśmy przyzwyczaić się do faktu, że każda dziedzina życia uwiązana jest na niewidocznych gołym okiem nitkach, że tkwi w mocnych więzach - ekonomicznych, ideologicznych, instytucjonalnych - hamujących czy próbujących zmienić jej naturalny kierunek rozwoju.

Pozornie sztuka jako sfera najbardziej osobistej działalności człowieka, w powszechnym pojęciu odległa od życia codziennego, pozostaje poza wpływem polityki. Jednak jak się okazało sztuka nie zawsze chce być oddzielona od życia, często pragnie uczestniczyć w nurcie dziejących się wydarzeń. Stąd zapewne wyniki ciekawe i dramatyczne zjawiska, które mogliśmy obserwować po roku 80-tym. Wtedy to nagle zaczęto oczekiwać od niej mówienia o sprawach aktualnych, reakcji na wydarzenia codzienne, utrwalania wielkich i podniosłych chwil w życiu narodu. Sami artyści również pragnęli oddać w swojej twórczości to coś istotnego, co działo się wokół. Chciano wreszcie, skoro nadarzyła się po temu okazja, mówić wprost i wszystkimi środkami o tym, co przez tak długi czas nie mogło być powiedziane.

I co się okazało. Otóż to, co w wyniku tych oczekiwań i pragnień powstało było po prostu nieciekawe, zle gatunkowo i w większości kiczowate. Treści, z którymi wszyscy się utożsamiali; pokazane na obrazach budziły jakiś dziwny niesmak. Matka Boska na biało-czerwonym tle, z klęczącym przed nią górnikiem i stoczniozomc mmo wszystkim nie poruszała odbiorcy i zaczynała funkcjonować podobnie jak odpustowe obrazki. Wielu krytyków zarzucało artystom, że nie dorobili do wagi tematów, że nie byli przygotowani na nagłą swobodę twórczą.

Jedynie dziedziny sztuki, które sprawdziły swą wartość w tamtych dniach to znakomita fotografia dokumentalna i grafika użytkowa (plakaty, znaczki, literackie). Przykładami tego mogą być świetne zdjęcia ze strajku w Stoczni Gdańskiej lub słynny król ościński w słowie "Solidarność".

Jednak rzeźba i malarstwo nie były w stanie podjąć tematów wówczas aktualnych. Dlatego też, kiedy euforia tych kilkunastu gorących miesięcy minęła bezpowrotnie, zaczęto zadawać sobie pytanie czy w ogóle możliwa jest sztuka dobra a jednocześnie zaangażowana politycznie. Czy po prostu sztuka zaangażowana nie przestaje być sztuką - bo odwołuje się do niemalarskiego, nierzeźbiarskiego sposobu oddziaływania i stara się posługiwać językiem propagandy? Czy nie traci tym samym swojego własnego, autonomicznego systemu znaków, charakterystycznego dla jej sposobu wyrazu? Czy problemy społeczeństwa, narodu mogą być bez ryzyka pustosłowia i namaszczonego zadęcia wyrażane przez twórczość jednostki?

Owe pytania odnośna przywodzi na myśl historię, bo nagle przypominamy sobie przekornie tak że wspomniany u nas okres socrealizmu. To wtedy próbo-

SZTUKA a POLITYKA

wano zmusić sztukę do służby ideałom politycznym, do propagowania różnych wzorców zachowań, przedstawiania modelu złego i dobrego obywatela, oddawania hołdu rządzącym. Wyrosło stąd, niemające wiele ze sztuki wspólnego, monstrum jest dziś wysławiane, ale budzi również grozę.

Oczywiście przeprowadzane w latach pięćdziesiątych ukierunkowywanie sztuki było przeprowadzane przy użyciu różnych, często drastycznych, metod nacisku, ale wiemy z pewnością, że wielu twórców z własnej woli pragnęło włączyć się w zachodzące przemiany wykonując prace "realistyczne w formie a socjalistyczne w treści". Wielu czyniło to z nadzieją na akceptację społeczną, bo to właśnie obiecywał "dla każdego zrozumiały i każdemu potrzebny" socrealizm. Wreszcie, artyści nie oderwano od życia, ale stojący - jak to się wtedy mówiło - "obok murarza i górnika przy budowaniu kraju" to ideał postawy popularnej do dziś.

I ten właśnie schemat myślenia, w jaki - z innych przyczyn niż w latach pięćdziesiątych pobudek - popadło po roku 80-tym wielu artystów i krytyków wydate się ponurym żartem historii. Z artystycznego punktu widzenia bowiem obie próby włączenia sztuki w służbę polityki jawia się jako równie nieudane.

Rozważania nad wpływem polityki na sztukę prowadzi nas nieuchronnie do problemu wystaw artystycznych. Państwo, które stara się zmonopolizować wszystkie przejawy życia narodu i w tym przypadku dąży do kontroli tego, co jest wystawiane. Stąd zawsze pewna nieufność budza artyści zbyt często wystawiający swe prace w kontrolowanych przez państwo placówkach. Podejrzanie, że są to, albo ludzie skorumpowani, albo nie mający nic do powiedzenia skutecznie odstrasza ostrożnych widzów. Ta osobliwość polskiego życia artystycznego dała znać o sobie ze szczególną siłą po wprowadzeniu stanu wojennego (może to być kolejnym przykładem na to, jak wydarzenia polityczne wpływają na historię sztuki). Wtedy to, wyjąwszy kilka kontrolowanych przez państwo miejsc, powstała pustka. Wystawianie w tych miejscach, a nawet chodzenie tam w charakterze widza stało się w pewnym okresie dowodem moralnego upadku.

Cała reszta twórców pozostała bez możliwości przedstawienia owoców swojej pracy, a czasami po prostu bez środków do życia, i w taki sposób zmuszona została do innego, mniej związanego z polityczną koniunkturą i opowiedzialnością, zawodu. Pewna pomoc w tym okresie stały się wystawy organizowane przez kościół. Półlegalne, oglądane w atmosferze lęku i przygnębienia, były wtedy jedyną możliwością publicznej swobodnej wypowiedzi.

Wszystko to wpłynęło na rodzaj sztuki tam wystawianej. Już samo miejsce ekspozycji i scenas wpływały na na wybór tematyki religijnej. Uwzględnienie tych wymagań pozwalało artystcie zwykle bez dalszej selekcji znaleźć się na wystawie kościelnej. Duże zapotrzebowanie i istniejący wówczas niemal przymus mówienia o sprawach wtedy aktualnych i ważnych powodował monotonię treściową i tematyczną tych wystaw. Przemieszanie religii z patriotyzmem

CIĄG DALSZY NA STR. 7

dawało nie zawsze możliwe do zniesienia konglomerat rozdartych cierniami biało-czerwonych serc, kapliczek boleści i kiczu. W ogólnie nienajlepszym wrzeniu ginęły i najlepsze dzieła sztuki. Ponownie okazało się, że do robienia dobrej sztuki dobre intencje nie wystarczają.

Istnienie dwóch obiegów sztuki pozostawiało również w kompletnym zawieszeniu wielu twórców, którzy nie mogli lub nie chcieli deklarować się po żadnej ze stron. Ludzie ci nie brali udziału w wystawach niezależnie od tego jaki charakter miał ich mecenat. Byli również i tacy, którzy usiłowali lawirować pomiędzy oboma obiegami.

Z czasem sytuacja powróciła do stanu normalnego. Otwarto nowe miejsca wystaw, w pewien sensie objęte politycznie; zmalała atmosfera potępienia społecznego dla "państwowych" galerii; wiele zaczęło zależeć od ludzi tam pracujących. Jednocześnie zmalała ilość wystaw kościelnych (obecnie odbywają się one niemal wyłącznie w kościele na Żytniej w Warszawie). Mimo tego atmosfera niepewności pozos-

tała. Wielu artystów nadal w ogóle unika pokazywania swoich prac. Są to przeważnie ludzie starsi, niezależni artystycznie i finansowo. Inni uważnie zastanawiają się gdzie wystawiać swoje prace, bo - jak powszechnie wiadomo - pojawienie się w katalogu pewnych galerii jest źle widziane przez kolegów i krytyków sztuki.

Jak zatem widać miejsce w jakim pokazuje się dzieła sztuki warunkuje w pewien sposób ich ocenę. Być może jest to normalna w naszych warunkach kolej rzeczy. Istniejące ryzyko niesprawiedliwych sądów jednak smuci, podobnie jak zjawisko baraku tolerancji czy snobizmu. Nie wspominając już o zupełnie dezorientowanym widzu, który bezskutecznie poszukuje dobrej sztuki.

Koncząc to potępienie polityki działającej w innych sferach życia, można wyrazić nadzieję, iż istnieje nieobciążony nią ogląd i ocena sztuki. Największa na to szansę mają prawdopodobnie nieuplatani w środowiskowe układy widzowie, szukający w sztuce po prostu czegoś dla siebie.

(KA)

REFLEKSY(JE)

MARK LIDO

Kto jest postępowy?

Wydaje się, że słowo "postępowy" - we wszystkich możliwych odmianach deklinacyjnych - zadomowiło się na stałe w języku oficjalnej propagandy. "Postępowa" są niektóre kraje, elementy, kolia, siły, idee, hasła, umysły, poglądy, zrywy narodo-wyzwoleńcze, społeczeństwa, systemy polityczne, inicjatywy, działania, organizacje i partie. "Postępowi" mogą być działacze, politycy, naukowcy, partyzanci, a nawet biskupi - pod warunkiem, że protestują np. przeciwko Reaganowi lub wypowiadają się przeciwko gnąbiącemu Murzynów reżimowi w Republice Południowej Afryki. "Postępowa" wreszcie bywa prasa, kinematografia, instytucja (jakakolwiek, wyjąwszy oczywiście wszelkie instytucje "niepostępowa"), metoda (patrz J.W.), literatura i sztuka.

Wielość kontekstów, w których interesujący nas termin występuje, jak widać, nie ułatwia zrozumienia jego znaczenia, a dodać należy, że powyższe przykłady stanowią jedynie niewielką część wszystkich spotykanych w języku propagandy użyć. Stąd nie od rzeczy będzie zacząć od definicji słowa "postępowy", która można spotkać w trzyltomowym Słowniku języka polskiego PWN. Czytamy tam, że "postępowy" to tyle, co "będący zwolennikiem postępu; wyrażający postęp, zgodny z zasadami postępu". Dla zrozumienia terminu "postępowy", a co za tym idzie, dla udzielenia odpowiedzi na zawarte w tytule pytanie konieczne jest zatem wyjaśnienie innego, pokrewnego semantycznie terminu, jakim jest słowo "postęp".

Odwólamy się ponownie do Słownika PWN. Zgodnie z nim "postęp" to "ciąg procesów, zmian zmierzających ku stanowi coraz doskonalszemu, coraz lepszemu; rozwój, polepszenie się, doskonalenie się". Już na pierwszy rzut oka widać, że dla definicji tej podstawowe jest pojęcie "stanu coraz doskonalszego". W zależności od rozumienia tego pojęcia bowiem zmieniać się będzie nasza definicja postępu, a w konsekwencji, będziemy skłonni różne rzeczowniki opatrzyć określeniem "postępowy". Innymi słowami, kontekst, w którym będziemy używać terminów "postęp" i "postępowy" będzie zmieniać się w zależności od tego, co subiektywnie uznajemy za cel nadrzędny, wartość najwyższą, formę doskonałą, stan upragniony itp., a służącym postępowi - czyli postępowym - będzie to wszystko, co sprzyja urzeczywistnieniu owego celu i stanu, owej wartości i formy. Jeżeli zatem napotkamy stwierdzenie, że np. jakaś partia, organizacja itd. jest postępową, to - na mocy naszej definicji - znaczy to, iż dana partia czy organizacja realizuje cele i wartości zbliżone z celami i wartościami autora tegoż stwierdzenia.

Powróćmy jednak do przykładów z języka propagandy. Wielość kontekstów, w których interesujący nas termin można napotkać oraz częstotliwość jego występowania sugerują, iżabrał on - przynajmniej dla ludzi tworzących propagandę - dodatkowego znaczenia. Otóż wydaje się, że w języku propagandy "pos-

tepowy" znaczy tyle, co dobry, słuszny, zaprzyjaźniony, swój, podobający się, akceptowalny itp. Wskazywałoby na to np. częste użycie słowa "postępowy" dla określenia rzeczownika reformy. Powstałe w ten sposób "postępowe reformy" znaczą prawdopodobnie w intencji autorów tego zwrotu tyle, co "zmiany, które trzeba lub chociaż można akceptować". Gdybyśmy natomiast chcieli interpretować znaczenie zwrotu "postępowe reformy" w jego słownikowym znaczeniu, to - biorąc pod uwagę znaczenia słowa "reforma" (zmiana czegoś na lepsze, ulepszenie czegoś) - otrzymalibyśmy oczywiście tautologię (dla sprawdzenia czy mamy do czynienia z tautologią wystarczy w zwrócić "postępowe reformy" zanegować przymiotnik; otrzymany w ten sposób zwrot - tj. "niepostępowe reformy" - znaczyłoby tyle, co "nieśluszna zmiana na lepsze zmiana na lepsze" - byłby zatem wewnętrznie sprzeczny).

Odejdźcie od słownikowego znaczenia terminu "postępowy" może być interpretowane w kategoriach orwellowskiej *nowomowy*: z jednej strony, jako jeden z przejawów funkcjonowania języka, w którym słowa tracą swoje pierwotnie znaczenia, a z drugiej, jako mniej lub bardziej uświadomiona manipulacja. Skoro bowiem "postępowe" znaczy tyle, co "dobre", to wartości i cele, które realizuje jakaś "postępową partia" przestają być wartościami i celami uznawanymi przez tę partię, lecz urastają do rangi wartości samych w sobie i celów ogólnoludzkich, których nieuznawanie graniczy z przyznaniem się do moralnej i kulturalnej abnegacji. Innymi słowami, "postęp" jako pojęcie, którego znaczenie i użycie uzależnione jest od subiektywnego systemu wartości i subiektywnej hierarchii celów ulega w języku propagandy obiektywizacji, a więc realizowane przez niego cele i wartości podniesione zostają do rangi prawa - również kategorycznego, co zasada moralna. Nie trzeba oczywiście dodawać, iż w taki sposób zobiektywizowane cele i wartości są tożsame z celami i wartościami uznawanymi przez ośrodek władzy politycznej, na którego usługach pozostaje propaganda.

Przy pomocy tak rozumianego terminu "postępowy" można nie tylko usiłować manipulować odbiorcą; termin ten nadaje się bowiem doskonale do opisu i systematycznej otaczającego świata. Nadanie słowa "postępowy" jednoznacznie i obiektywnie pozytywnego znaczenia ułatwia ocenę sytuacji i dokonywanie trudnych wyborów w zmieniających się okolicznościach. Wszystko to, co "postępowe" bywa wówczas przeciwstawiane temu, co "niepostępowe", a więc niepożądane, wrogie, obce - czy po prostu złe. Osobie rozumującej w taki sposób świat jawi się tedy jako struktura nieuchronnie dualistyczna, w której wszystko ma - wzorem ładunków elektrycznych - przypisane swój dodatni lub ujemny symbol, w której wszystko jest, albo niepodważalnie dobre, a więc

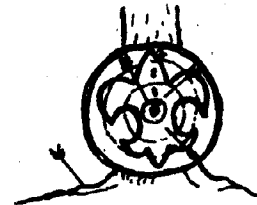
CIAĞ DALSZY NA STR. 6

KRYZYS HARCERSTWA ?

HARCERSTWEM

BYĆ...

JAN DET



Jaki jest kształt obecnego harcerstwa? Dokąd ono zmierza?

Dzieje harcerstwa w PRL pełne są różnego rodzaju meandrów. Jako autentyczny ruch społeczny przeżywało ono okresy swego rozkwitu, jak też całkowitego przytłumienia swej aktywności. Momentem zrywu stał się okres popaździernikowej odnowy, a także lata 1980-81.

Ostatnie dzieje harcerstwa jako oddolnego ruchu społecznego to, moim zdaniem, kolejny niebezpieczny zakręt. Przytłaczająca większość instruktorów, biorących udział w okresie harcerskiej odnowy w działalności Kregów im. Maikowskiego (KIHAM), podjęła decyzję o pozostaniu w szeregach Związku Harcerstwa Polskiego również po ogłoszeniu stanu wojennego. W krótkim okresie czasu ZHP zgłosił swój akces do PRON-u a porozumienie KIHAM zostało zmuszone do samolikwidacji. Instruktorzy jednak w ZHP pozostali.

Nie oznaczało to całkowitego stłumienia inicjatyw tworzenia niezależnego harcerstwa. Jedną z nich było powstanie tzw. Ruchu, będącego kontynuacją idei KIHAM, a więc pozostawania w szeregach ZHP i pozornej akceptacji jego założeń ideowych (m.in. "ideowej inspiracji PZPR") przy półjawnym prowadzeniu działalności harcerskiej. Innymi rozproszonymi inicjatywami są m.in. próby włączania się drużyn harcerskich w prace PTTK, czy w konkretne struktury kościelne. Z tych ostatnich należy chyba wyróżnić bardzo ciekawy eksperyment lubelski, polegający na konsekwentnym i kompleksowym zastosowaniu metody harcerskiej w pracy duszpasterskiej (*). Natomiast dla potrzeb Ruchu utworzono Krajowe Duszpasterstwo Harcerskie - z wydawanym w Krakowie czasopiśmie "Czuwajmy" - którego największym sukcesem było zorganizowanie spotkania z Ojcem Świętym w Tarnowie 10.06 br. oraz liczny i dobrze zorganizowany udział harcerzy w służbie porządkowej i sanitarnej podczas wizyty papieża.

(* Przpominamy, że w poprzednim numerze "Wielkiej Gry" zamieściliśmy wywiad z twórcą tego eksperymentu Michałem Hobrzyńskim ("WG" nr 3-4, czerwiec 1987).

We wszystkich tych działaniach uderza jednak brak odpowiedzi na zasadnicze pytanie: jakie są perspektywy polskiego harcerstwa? Nie ulega wątpliwości: harcerstwo polskie przeżywa kryzys. Kryzys przede wszystkim w sferze ideowej. Dotyczy to zwłaszcza inicjatyw mieszczańskich się w ramach oficjalnie działającego ZHP. Od czasów harcerskiej odnowy 1980-81 nie odpowiedział sobie na zasadnicze pytanie: kogo chcemy wychowywać?

Jak wychowywać - to jeszcze mniej więcej wiadomo, aczkolwiek i tu brak dojrzałej refleksji programowo-metodycznej. Pytanie "kogo" jest tutaj jednak problemem kluczowym.

Pewien mój znajomy, drużynowy z małej podkieleckiej miejscowości, prowadzący swą drużynę w ramach ZHP, a jednocześnie związany z Ruchem, stanął niedawno przed problemem, wcale zresztą nie nowym, pójść z harcerzami na pochód pierwszomajowy, czy zaryzykować rozwiązanie drużyny i odcięcie od wszelkich funduszy? Drużyna na pochód poszła, wybór przyszedł dość łatwo. Zwyciężył argument o tzw. dobru dziecka.

Przykład powyższy, bynajmniej nie odosobniony, świadczy o swoistej schizofrenii polskiego harcerstwa, szamoczącego się między udziałem w pochodzie pierwszomajowym lub pracą w lokalach wyborczych (autentyczny przykład drużyny postkihamowskiej z Warszawy), a udziałem w różnego rodzaju "harcerskich" mszach, czy imprezach o patriotyczno-kombatanckim charakterze.

Oczywiście każda forma egzystowania w systemie komunistycznym wymaga pewnych kompromisów. Są jednak kompromisy moralne nie do przyjęcia. Takim jest, moim zdaniem, sytuacja Ruchu działającego wśród członków formalnie prokomunistycznej organizacji, z której czerpie się fundusze na znaczną część imprez i jego jednoczesna działalność quasi-opozycyjna. Czego uczy się harcerz idący w pochodzie pierwszomajowym a następnie wyjeżdżający na spotkanie np. kombatanów AK lub "harcerską" mszę? Jakież metlik w głowie musi mieć ów członek organizacji uznającej "przewodnią rolę partii, wyrażającą się w inspiracji ideowej" (a więc programowo ateistycznej) biegnącej na harcerskie nabożeństwa...

BIAŁA SŁUŻBA

"Biała Służba" to nazwa harcerskiej sprawności przysługującej uczestnikom harcerskich służb samarytańskich i porządkowych działających podczas ostatnich dwóch wizyt Papieża w naszym kraju. Służby te, organizowane w porozumieniu z Kościołem przez środowiska tzw. "post-kihamowskiego" nurtu w ZHP, stanowią niewątpliwie przykład "prawdziwie harcerskiego" działania, takiego, jakim je sobie wyobrażamy pamiętając dawne zasługi Harcerstwa. Działania oznaczającego bezinteresowną służbę ludziom w chwili i miejscu, gdzie jest to aktualnie najbardziej potrzebne. Związcząca tegoroczna służba, pełniona na całym niemal szlaku papieskiej pielgrzymki, poprzedzona wielomiesięcznym starannym przygotowaniem - zadziwiała ofiarnością i świętym zorganizowaniem. Zamieszczamy poniżej relację - reportaż harcerski pełniacej "biała służbę" w Gdańsku i Gdyni.

"Ty zaś czuwał w wszystkim, znosił trudy, wykonał dzieło ewangelisty, spełnił swe posługiwanie." (2 Tym. 4,5)

Wczesny ranek 11 czerwca Gdańsk-Morena. Budzi mnie stukanie kropel w dach namiotu. Z niepokojem myślę o perspektywie spotkania z Ojcem Świętym w strugach ulewnego deszczu. Patrzę na zegarek - do szóstej jeszcze pół godziny. Wpełzam głębiej w śpiwór i zasypiam.

Tym razem budzi mnie gwizdek. Wypadamy z namiotów, a tu słońce! Szybkie mycie, śniadanie, sprawdzenie porządku w namiotach i formowanie patroli.

Jesteśmy w patrolu samarytańskim, więc każda z nas zabiera apteczkę z podstawowymi środkami opatrunkowymi i - po doświadczeniach ze służby w

'83 r. w Częstochowie - duża ilość środków uspokajających i pobudzających.

Rozglądam się dookoła - dziewczęta w letnich mundurach, bez zbędnego obciążenia, wesołe, choć pełne napięcia. Przygotowywały się do tej chwili cały rok, są jednak trochę niespokojne czy nabyte umiejętności wystarczą. Te starsze, skupione, wymieniają ostatnie uwagi, rozdzielają buteleczki z lekarstwami, napełniają wodą manierki - wiedza, że najpotrzebniejsze będzie picie.

Jeszcze tylko przegląd stanu - jest nas na tym biwaku (doskonale zresztą zorganizowanym) około 600 dziewcząt. Ruszamy w kierunku dworca. Po drodze mijamy kolejne, schodzące do punktu koncentracji grupy. Wreszcie już wszyscy razem maszerujemy ulicami Gdyni. Na których zakrećce oglądam się i ... Boże, aż tylu nas jest?! Takiego zgromadzenia harcerek i harcerzy ze środowisk "post-kihamowskich" nie było już od wielu lat. Jak to się się sprawdzi w działaniu?

Spiewając w marszu, pełni radosnego uniesienia przychodzimy na miejsce i rozchodzimy się do sektorów. Mimo, że jest dopiero 10.00, a spotkanie z Ojcem Świętym ma zacząć się o 19.00, dookoła już gęstnieją tłumy. Upał rośnie. Nasza patrolowa pokazuje nam plan terenu i idziemy dwójkami wykryć najbliższe źródła wody, kontaktujemy się z lekarzem z punktu sanitarnego, ustalamy drogę do karetki pogotowia.

Pojawiają się pierwsze problemy. Jesteśmy na skraju tzw. "sektorów chronionych". Tu gromadzą się największe tłumy. Robi się zator, ponieważ każdy jest sprawdzany przez służbę bezpieczeństwa. Widać, że ci panowie zaczynają popadać w histerię, w końcu cofając się pod naporem tłumy proszą harcerzy o pomoc. Tlum rośnie, nadbiegający harcerze roz-

Z tego punktu widzenia istnienie przy ZHP kapelanów harcerskich może być równoznaczne moralnie z tworzeniem duszpasterstw przy "bratnim" Związku Socjalistycznej Młodzieży Polskiej. A może jeszcze bardziej szkodliwe, bo oczy kompromisów moralnych, dużo "ciemnych", miał zaważalnych w swej istocie. To jest właśnie stopniowe uzależnianie się od systemu.

Czy jest z tej sytuacji jakieś wyjście?

Wydaje się, że dużo klarowniejszym rozwiązaniem byłoby organizowanie niezależnych inicjatyw harcerskich poza ramami oficjalnego ZHP. Działających bynajmniej nie w sposób tajny lecz półtajny. W tym celu należałoby dokonać swobodnego "przewrotu kopernikańskiego" w umysłach niektórych instruktorów i weteranów harcerskich. Skonczyć należy nianowicie z ideą "jedności" organizacyjnej harcerstwa za wszelką cenę. Szkodliwość tej idei wykazał dobitnie okres posierpniowej odnowy, kiedy to w imię jedności zrezygnowano z tworzenia alternatywnej do ZHP organizacji. Sądze, że zarówno doświadczenia skautingu światowego, jak i polskiej odnowy wykazują dobitnie konieczność swobodnego pluralizmu ideowego w programie wychowawczym polskiego harcerstwa. Niech to będzie harcerstwo wyznaniowe, laickie czy programowo indyferentne religijnie, byle dawało jasną i klarowną moralnie odpowiedź na pytanie "co robić" i ustawiło swoich wychowanków w wyraźnie określonej pozycji wobec zastanej rzeczywistości. Używając terminologii biblijnej można by powiedzieć, że harcerz nie może być "letni", musi być albo zimny, albo gorący; nie może jednocześnie służyć dwóm panom: "Bogu i mamonie".

Jakie są alternatywy organizacyjne wobec ZHP w sytuacji, kiedy oficjalne zatwierdzenie prawne jakiegokolwiek inicjatywy harcerskiej jest nierealne? Widzę tu trzy możliwości:

1. "Schowanie się" pod parawanem bardziej neutralnej ideowo organizacji, jak np. PTK (nota bene członkowie PROW-u, ale nie wymagający od swych członków serwilistycznych gestów wobec systemu), LOP, PTSK, Towarzystwo Hodowców Kanarków itp. Harcerstwo bowiem to nie konkretna organizacja, ale system wychowawczy, na który nikt nie ma monopolu. Metoda harcerska można więc posługiwać się wszędzie.
2. Tworzenie autentycznych podstaw harcerstwa czy skautingu wyznaniowego (wyzbytego oczywiście przedwojennych proeuropejskich sympatii). Kościół i inne związki wyznaniowe nie byłyby tu parawanem. Dla Kościoła katolickiego stanowiłoby to np. konsekwentne wcielanie w

życie postanowień Vaticanum II o zaangażowaniu świeckich w Kościele. Propozycja ta jest o tyle realna, że można przytoczyć konkretne przykłady podobnych inicjatyw po 1982 roku. W przyszłości może to doprowadzić do utworzenia odrębnej organizacji katolickiego harcerstwa. Tym, którzy by się tego obawiali, należy pokazać przykłady zachodniego skautingu, gdzie w jednym kraju istnieje niekiedy po pięć (i więcej) organizacji skautowych, zrzeszonych (lub nie) w jedną federację.

3. Propozycja najtrudniejsza do psychicznego zaakceptowania, ale realna wśród grup starszoharcerskich to działanie bez jakiegokolwiek szyldu. Nikt przecież nie zabroni wzajemnych spotkań, czy organizowania zupełnie nieformalnych obozów. Drużyna może być na zewnątrz zwykłą gromadą kumpli. Bez konspiracji, rzecz oczywista.

W dalszym ciągu u podłoża wszelkich inicjatyw "niezależnych" powinna leżeć odpowiedź na pytanie: KOGO CHCEMY WYCHOWYWAĆ? Czasami bowiem warto za cenę przeniesienia krótkich spodni, getrów, rogatywek, a nawet Krzyża Harcerskiego uratować pewne pryncypia.

Za wszelkimi niezależnymi poczynaniami harcerskimi powinien koniecznie postępować harmonijny rozwój myśli programowo-metodycznej. Tym sprawom należy jednak poświęcić więcej miejsca.

phm. Jan Det

DOKOŃCZENIE ZE STR. 7

REFLEKSYJE

godne pożądaniami i propagowania, albo bezgranicznie zle, a więc wymagające sprzeciwu i odrzucenia.

Być może jednym ze sposobów obrony przed upowszechniającą taki obraz świata propagandą jest jasna i precyzyjne operowanie językiem. Dlatego może zanim nazwiemy kogoś lub coś "postępowym" lub "niepostępowym" powinniśmy zastanowić się nad własnym systemem wartości i hierarchią celów, w oparciu o które będziemy dokonywać rozróżnień. Innymi słowy, pytanie: "Kto jest postępowy?" winno zawsze być poprzedzone pytaniem: "W co wierze?"

Marck Liba

ładują sytuację, kierując ludzi do innych wejść. Wkrótce i my musimy poprosić o pomoc - trzeba utworzyć drogę do punktu sanitarnego, a ludzie, jak to, ludzie, chcą wszyscy stać jak najbliżej. Nie rozumieją, że za chwilę zacznie im barakować siła, że upał spowoduje istną lawinę zasłabnięć i omdleń.

Południe, żar rośnie. Z pomocą dwóch zmobilizowanych młodzieńców wynosimy kolejną kobietę do punktu sanitarnego. Przy okazji uzupełniam apteczkę. Jesteśmy tu dopiero dwie godziny, a już zużyłam całą butelkę cardiamidu. Zostajemy same w sektorze, bo harcerze pobiegli pomóc w przeprowadzeniu grupy ludzi chorych i kalekich pod oltarz. Kolejna zapasć - moja współtowarzyszka podrywa z trawy dwóch wyrosniętych panów. Wstają z ociąganiem, potem na skutek ostrej uwagi Eli chwytają za konce palatki. Biegniemy do sanitarki.

Młodsze dziewczęta ciągle krają z wodą. Jest teraz bardzo cenna, wyciągają się po nią bez przerwy ręce. Pomoga w tym upale nawet ryk. Patrząc na zmęczone twarze harcerek i zastanawiam się ile już kilometrów zrobili krając nieustannie wśród zbitego tłumu? Jednak gdy ktoś poproci o wodę podaję ją z uśmiechem.

Godzina 17.00. Apatyczni ludzie ożywiają się, zbliża się czas mszy świętej. Milkną głosy klęczących się o coś panów, podnoszą się z trawy zmęczeni. Chwila oddechu i dla nas. Modle się o wytrwanie, o to, byśmy nie zobojętniali na cierpienie. Śpiewamy "Chwała na wysokości Bogu...". obok nas ktoś wola: "Siostrzyczko!" Wpadamy z Ela pod belkę ogrodzenia w tłum i wynosimy na drogę dziecko - chłopca, który, jak twierdzi zdenerwowana matka, "po prostu zasnął". Widzę, że oczy "wpadały" mu w głąb czaszki, cucimy go przez chwilę, wreszcie decyzja: odnosimy go do karetki.

Msza trwa. Staram się łowić fragmenty: klękamy podczas Podniesienia, potem chwila skupienia przed Komunią; ksiądz podaje mi ja jakby "w locie", bo znówu ktoś wola.

Wreszcie w ogólnym zamięsaniu dociera do mnie, że właśnie mówi do nas Ojciec Święty. Przystaję w drodze po wodę. Jakas kobieta chwytą mnie mocno za rękę i płacze. "Tak długo na niego czekaliśmy" - szepcze. Uśmiecham się przez łzy do siebie i biegnę dalej. Trochę żal, że prawie nic ze słów Papieża do mnie nie dociera. Coż, przeczytam jak wydrukują, może posłucham nagrania, wtedy przyjdzie czas na refleksje i czerpanie wiary i nadziei.

Wieczór, tłumy rozchodzą się powoli. Jeszcze oczyszczamy nasz sektor, rosną góry śmieci. Zbieramy się "do kupy". Liczę moje dziewczęta - skąd one mają tyle siły, żeby z takim ożywieniem i radością dyskutować o minionym dniu? Przysłuchuje się przez chwilę. Ta radość, to świadomość, że nasza pomoc była niezbędna, że niosłyśmy ulgę i pociechę. "Jak przedwojenne harcerki" - mówi któraś młodsza.

Jak nigdy dotąd wyraźnie zobaczyliśmy sens naszej pracy, dotwiadczyliśmy, że w sytuacjach skrajnych potrafimy pokonać naszą słabość. Jednocześnie ta wykonana rzetelnie praca potwierdziła naszą przekonanie o przydatności oczek, które staramy się w sobie wyrobić. Każda z dziewcząt musiała przecież samodzielnie i szybko podejmować decyzje i kierować ludźmi.

Patrzymy na siebie z lekkim niedowierzaniem i radością. Wszak to jest sens naszej służby - nieść pomoc potrzebującym.

S.P.

W kolejnym wywiadzie na łamach naszego pisma przedstawiamy się sami. My - czyli Zespół Oświaty Niezależnej. Żeby ułatwić sobie pracę sięgnaliśmy do serwisu NAI nr 100 i przedrukowujemy zamieszczony tam wywiad z przedstawicielką naszego Zespołu. Nam, redakcji "WG" szczególnie interesujące wydały się opinie na nasz temat. Ale porachunki już we własnym gronie.

Czy w Zespole Oświaty Niezależnej działają jacyś nauczyciele?

Jeden. Dwóch. W porywach trzech.

Mo to jak sobie radzicie ze zdobywaniem informacji o tym, co się dzieje w środowisku?

ZON nigdy nie był pomyślany jako zespół nauczycielski. Poza nami istnieje coś takiego, jak pozostałość "Solidarności Nauczycielskiej", z którą utrzymujemy stały kontakt. Jedna osoba od nas wchodzi w skład grupy solidarnościowej i na stałe z nimi pracuje. Poza tym mamy kontakt z grupami "S" nauczycielskiej w kraju, np. z Krakowem, Gdańskiem, Wrocławiem. Są to właśnie kontakty informacyjne.

Zamknięty krąg

Czyli Zespół Oświaty Niezależnej to kto? Jeśli można wiedzieć?

Można powiedzieć, że większość w naszym zespole są to ludzie, którzy zawodowo zajmują się oświatą, systemem kształcenia. Większość w naszym zespole stanowią pedagodzy i psychologowie. Nie można więc powiedzieć, że jest to zespół ludzi nie związanych profesjonalnie z oświatą. Wręcz przeciwnie, są to ludzie, którzy mają bardzo bliski kontakt ze szkołą z racji wykonywanego zawodu, tyle, że nie nauczają.

W jakim więc celu powstał Zespół Oświaty Niezależnej?

Nasza działalność datuje się od marca 1982 roku. Zasadniczo stawialiśmy sobie za cel rozwijanie ruchu oświaty niezależnej, form kształcenia i samokształcenia alternatywnych w stosunku do szkoły. Nie stawialiśmy się na pracę w środowisku nauczycielskim, tylko na dostarczanie mu, ale także i uczniom, także środowiskom poza szkolnym, metod, tekstów, prac stwarzających szansę na rozwój tego, co wtedy nazywano samokształceniem. ZON powstał z nastawieniem, aby skupiać ludzi myślących o stanie młodego pokolenia i o stanie oświaty w naszym kraju, o szkole i o tym jak ją reformować. No i co w ogóle robić z wychowaniem w takiej sytuacji.

Pomysł więc wywodził się z idei państwa podziemnego. Od czego zaczęliście?

Pierwszym pomysłem "na życie" było stworzenie pisma oświatowego, które zajmowałoby się sytuacją w szkole, oceniałoby ją i stanowiło pomoc dla osób zajmujących się kształceniem. To było pismo "Tu, Teraz" - nastawione na propagowanie idei oświaty niezależnej. Obok pisma powstał pomysł prowadzenia działalności usługowo-wydawniczej. To były Zeszyty Edukacji Narodowej, które początkowo nastawione były na dostarczanie popularnych tekstów z dziedzin humanistycznych i miały stanowić podstawę do pracy kół samokształceniowych. Z czysto technicznych względów nie udało się współgranie idei zespołów samokształceniowych i wydawnictwa. W związku z tym pomysły ZON-ów zaczął funkcjonować sam w sobie, już bez z góry założonego porządku, tylko wedle tego jak napływały teksty. Poszczególne zeszyty zaczęły być wydawane i stanowią obecnie zespół lepszych lub gorszych tekstów autorskich na tematy humanistyczne. Bardzo nam się powiódł cykl historyczny. Dotychczas wyszło trzydzieści kilka zeszytów.

To już spory dorobek. Inne inicjatywy równie obiecująco się rozwinięły?

Jeżeli idzie o ruch samokształceniowy, to zależało nam początkowo na wspieraniu tego, co spontanicznie zaczęło się tworzyć po wprowadzeniu stanu wojennego. Okazało się jednak, że wśród młodzieży tym pierwszym impulsem była raczej chęć konspirowania niż kształcenia się, więc ten ruch samokształceniowy miał charakter quasi konspiracyjny z małym napędem poznawczym. Przez dwa lata rowiłał się intensywnie, a później osłabił i w tej chwili utrzymuje się takie status quo. W zasadzie jednak idea

ta umiera śmiercią naturalną. Chociaż ta miłość, gdzie to istnieje, jak np. Gorzów Wlkp. Tam ten ruch był od początku bardzo ożywiony. Tam ta tradycja bardzo się przyjęła, chwyciła i umie być przekazywana. Mimo licznych wpadek. W tej chwili idee kół samokształceniowych zastąpiła idea robienia sieci bibliotek środowiskowych. Pray droższej książce dostarczanie ludziom, młodzieży i nauczycielom, możliwości czytania. Ten ruch bardzo się teraz rozwija. A główną obecnie działalnością intelektualną zespołu jest idea badań oświatowych alternatywnych do oficjalnych, stworzenie raportu na temat oświaty. Jesteśmy w trakcie zbierania materiałów na temat stanu edukacji narodowej, stanu szkolnictwa, wychowania - są już rozesłane ankiety, są kontakty ze środowiskiem nauczycielskim, zajmują się tym profesjonalści. Robione jest to, jednym słowem, z dużym rozmachem i mam nadzieję, że się powiedzie.

Czy macie już jakąś orientację w tym, jaka jest dzisiejsza szkoła i jej nauczyciele?

(...) To, co mamy w tej chwili, to jest szkoła spacyfikowana. Jeśli odbywają się jakieś ruchy umysłowe, to są one ukryte. Sporo nauczycieli

uczeszcza na różne spotkania, prelekcje (choćby organizowane przy parafiach) i potem przenosi to do swojej pracy z młodzieżą. I to już jest bardzo dużo. Jeżeli nauczycielowi uda się w tych warunkach być niezależnym w swoich kontaktach z młodzieżą - to jest to po prostu dobry nauczyciel. Natomiast rzadko to się odbija w atmosferze szkoły, rady pedagogicznej i nie ma mowy o zmianach strukturalnych w samych szkołach. Oczywiście poza wyjątkami.

Na ile ta szkoła jest inna od tej przedsiępniowej?

Są takie szkoły, gdzie ta różnica jest widoczna i wyraźna dzięki istnieniu jednej lub kilku osób, jak już powiedziałam, świadomych. W szkole liczy się przede wszystkim pojedynczy nauczyciel i jego kontakt z młodzieżą i rodzicami. Natomiast w całej masie szkół podstawowych czy zawodowych nic się nie zmieniło. Szkolnictwo zawodowe to dla nas ziemia nieznaną. Cała działalność niezależna opiera się na więzach towarzyskich i kolportażowych i te osoby, które w to nie wchodzi są poza zasięgiem naszego oddziaływania. Kolportaż to kanał zamknięty - dociera stale do tych samych osób i do tych samych grup młodzieży. Problem na przyszłość to - w jaki sposób dotrzeć poza ten zamknięty krąg. Sprawa oświaty szeroko pojętej jest ciągle otwarta.

A co z młodzieżą?

Ano właśnie, a o nią głównie chodzi. Wchodzi teraz w życie roczniki, dla których "Solidarność" jest historia. Te sprawy, które nam wydawały się oczywiste, dla nich oczywiście już nie są. Są nieufnie nastawieni do obu stron. Zdecydowanie wrody wobec władzy, ale i nieufni i krytyczni wobec opozycji. Większość młodzieży rośnie poza wszelkimi wpływami. Powstaje u nas pismo dla młodzieży pt. "Wielka Gra", nakierowane na odbiorcę, który chce tworzyć wokół siebie ruch społeczny nastawiony nie na konspirację, tylko na zagospodarowanie swojego środowiska: jak być tworcą samorządu w szkole, koła samokształceniowego, jak być w grupie i jak ją organizować. Formuła pisma nie jest jeszcze ostatecznie wykształcona, bo jak młodzi biorą się do pisania na poważnie, to robia to jak pismo dla starych. No i są próby wydawania czasopisma dla dzieci. Przymierzamy się do opracowania i wydania podręcznika wiedzy obywatelskiej czy politycznej. Właściwie jeśli mówimy o oświacie niezależnej, to trzeba powiedzieć, że rozwija się ona dwoma niezależnymi torami. Dorosli i młodzież to są dwa oddzielne światy. Nie ma tradycji współpracy między środowiskiem nauczycielskim a zaangażowaną w działania opozycyjne młodzieżą, nawet w jednej szkole. Oni działają niezależnie od siebie i niewiele o sobie wiedzą. Nasze działania zmierzają do zmiany tego utrwalonego stanu rzeczy. Naszym celem jest przełamanie tej bariery nieufności. Myślimy o wypracowaniu takiego modelu przyszłej szkoły, w którym autentyczne wychowanie oparte na więzi nauczyciela z uczniem mogłoby zastąpić dzisiejszy model urzędniczego, odpersonalizowanego zarządzania. To, co robimy, zmierza do ukazywania różnicy pomiędzy prawdziwym wychowawcą a funkcjonariuszem państwowym pełniącym rolę dozorcę młodzieży.



2. Selekcja pozytywna

Równoległe do akcji scaleniowej, zwłaszcza od 1941 roku gdy rozszerzono werbunek do kadrowej dotąd organizacji, napływały do ZWZ/AK tysiące młodych mężczyzn i kobiet poszukujących dla siebie miejsca w walce o niepodległość. Dzięki temu tworzone od góry podziemne Wojsko Polskie budowało się także od dołu, rozrastając się w liczną armię, obejmującą według różnych wyliczeń od 250.000 do 350.000 żołnierzy. Zaprzysiężonych, zorganizowanych w zwarte jednostki i podległych dyscyplinie wojskowej, choć obywatelskich bez koszar i "koszarowego" wychowania. Żołnierze ci nie dysponowali też na codzień bronią, której było za mało i którą ukrywano w ściśle tajnych i zabezpieczonych magazynach.

Była to potężna armia ochotnicza złożona z ludzi, którzy znaleźli się tutaj z własnej i nieprzymuszonej woli a nie wzięci z poboru czy podlegli ogólnej mobilizacji. Dowodzili nią ci sami oficerowie służby czynnej, rezerwy i stanu spoczynku, którzy bądź woleli walkę w kraju od honorowej niewoli, bądź nie zmobilizowani w 1939 roku teraz zgłaszali się do wojska. Z oficerów Września była to część znikoma: większość wybrała status jeńca wojennego lub znalazła się w sytuacji nie dającej żadnego wyboru, wielu udało się przedrzeć przez granicę do tworzony we Francji armii regularnej. Było ich więc zbyt mało. W latach 1942-1944 kadry niższych dowódców uzupełnili ci, którzy w 1939 roku byli jeszcze chłopcami bądź szeregowymi żołnierzami WP i którzy szlify oficerskie zdobywali dopiero w tajnych ochotniczych i szkołach niższych dowódców.

Odbiwała się więc przez cały czas okupacji specyficzna naturalna selekcja. Była to w wielkim stopniu selekcja pozytywna: ażeby walczyć bez mundurów, z piętnem "bandyty" - nie kombatanta, bez żołdu i bez "tyłów", trzeba było więcej ofiarności, więcej rezygnacji i samozaparcia, więcej samodzielności. Pozostawali ci, których było na to stać i ci, którzy tak walczyć umieli.

aresztowany przez Gestapo, został rozstrzelany; trzeci - gen. Tadeusz Komorowski był jencem popowstańczego obojgu; czwarty - gen. Leopold Okulicki zmarł w więzieniu radzieckim. Konspiracyjne "dygnitarstwo" nie było zajęciem lukratywnym, wymagało straszliwej pracy i wyrzeczenia, narażało na śmierć w torturach (ginęły w nich całe zespoły kierownicze partii politycznych, całe sztaby dowódcze), odrywało od rodziny i skazywało na tułaczkę. Dlatego też wymagało charakteru i patriotyzmu wyrażającego się w czynach, żadna "polityka personalna" nie mogła kierować tu ludźmi, którzy nie posiadali pewnych cech i określonych umiejętności.

Drugi fakt - to bariera trudności, która budowała sama działalność konspiracyjna. Aby dowodzić oddziałem bardzo często trzeba było najpierw go stworzyć. Nie wystarczyło mianowanie - trzeba było być rzeczywiście "dobrym", żołnierze-ochotnicy mogli w każdej chwili zniknąć z pola widzenia dowódcy, który nie miał autorytetu i umiejętności. Oddział rozlatywał się, terenowa organizacja (rejon czy obwód) nie powstawała, albo rozrastała się bardzo powoli. Na miejsce dawnego wyrzastali jak spod ziemi nowi dowódcy o cechach przywódców charyzmatycznych, którzy przejmowali funkcje, bo przejmowali realną pracę i tworzone przez siebie oddziały. Znamy liczne przykłady przechodzenia do innego oddziału a nawet do innej organizacji, jeżeli to co umiała zaproponować dotychczasowa uznawano za mało realne czy za mało atrakcyjne.

Jeszcze bardziej widoczne było to w małych organizacjach regionalnych i powoływanych nie przez ogólnokrajowe autorytety przywódców politycznych i generałów a przez ludzi tutaj żyjących: nauczycieli wiejskich, powracających z wojny młodszych oficerów i podoficerów, działaczy najniższego szczebla. Organizacje takie powstać mogły jedynie dzięki rzeczywistym walorom i umiejętnościom "domorodnych" i "samozwańczych" przywódców, którzy tylko dzięki prawdziwemu autorytetowi w środowisku mogli skłonić swe otoczenie do wzięcia udziału, pod ich kierownictwem w pracy codziennie zagrożonej śmiercią w meczarniach. Jest godne najwyższego podziwu, że to właśnie ci ludzie oddawali (najczęściej bez dyskusji i warunków) swe organizacje - z takim trudem i ryzykiem powołane do życia - w ręce nowych dowódców tylko dlatego, że ci mieli za sobą autorytet Państwa Polskiego i legalnych władz Polski Podziemnej.

Ta selekcja pozytywna powodowała, że konspiracja była budowana na zaufaniu, dobrej wierze i autory-

Tomasz Strzembosz

Kilka refleksji o Armii Krajowej cz.2

Mówiąc o selekcji pozytywnej trzeba jeszcze zwrócić uwagę na dwa fakty. Pierwszy, to fakt, że w warunkach konspiracji - i tej wojskowej, i tej cywilnej - największe straty ponosiła i ponosić musiała kadra kierownicza. O ile żołnierz jakiegoś sekcji oddzieleny od innych komórek i połączonej z nimi jedynie osoba bezpośredniego dowódcy narażony był przede wszystkim wtedy, kiedy "sypnął" lub zdekonspirował ich grupę jeden z bezpośrednich towarzyszy broni, dowódca kompanii był już znany nie tylko wszystkim dowódcom plutonów ale kierownikom różnych służb a często także wielu szeregowym żołnierzom. Inspekcje, odprawy, udział w akcjach - rozszerzały krąg ludzi, którzy mogli nie tylko zapamiętać jego sylwetkę ale także poznać miejsce pobytu (cyklicznie używane lokale kontaktowe, czy odprawowe a wreszcie prywatne mieszkanie). W jeszcze większym stopniu dotyczyło to szefów organizacji, którzy ze względu na swą funkcję znani byli nie tylko ludziom ze swego związku ale i organizacji współpracujących, scalanych a nawet całkiem obcych, ale z którymi prowadziło się jakieś rozmowy. Toteż straty tu były ogromne. Wystarczy powiedzieć, że z trzech kolejnych Delegatów Rządu na Kraj pierwszy - Cyryl Ratajski zmarł własną śmiercią, zapewne z przemęczenia i przeciążenia, drugi - Jan Piękalkiewicz został aresztowany przez Gestapo i zamęczony, trzeci - Jan Stanisław Jankowski zmarł w radzieckim więzieniu w Moskwie. Z czterech kolejnych dowódców SZP/ZWZ/AK, pierwszy - gen. Tokarzewski-Karaszewicz, aresztowany na przejściu strefy demarkacyjnej niemiecko-radzieckiej, był więziony i ocalał dzięki umowie Sikorski - Majski jako żołnierz Polskich Sił Zbrojnych w ZSRR; gen Stefan Rowecki,

tecie rzeczywistym a nie formalnym, pozwalała bowiem domniemywać, że za tajemnicą pseudonimem kryją się rzeczywiste wartości, pozwalała na zachowanie karności wobec ludzi nieznanych, na których na ogół się nie zawodzono.

3. Armia obywatelska

Bardzo wielu żołnierzy Armii Krajowej przyszło do niej "na własną rękę" korzystając z koleżeńskiego lancuska znajomości i polecenia jednych przez drugich. Bardzo wielu jednak weszło tu razem z większą grupą: z początkiem organizacji wojskowej lub organizacją w pełni rozwiniętą, nieraz obejmującą dużą część Polski. Wszyscy oni wchodzili do Armii Krajowej zyskiwali tu prawa, których nie zyskaliby w żadnej na świecie armii regularnej i jawnej.

Armia Krajowa była taka zupełnie niezwykła armia państwowa, która znajdując się w walce, "na linii frontu", pozwalała swoim żołnierzom nie tylko kulturować przyniesione "z cywila" zapatrywania polityczne i społeczne ale również należało do dowolnych (praktycznie) stronnictw i ugrupowań politycznych, jeśli tylko akceptowały one prerogatywy zakonspirowanego wojska. Było twarde zasadą "akcji scaleniowej", respektowana od samego początku i dotycząca wszystkich bez wyjątku wcielanych organizacji czy oddziałów bojowych, że ich żołnierze wchodzili do ZWZ/AK w zwartych jednostkach, najczęściej z własnymi dowódcami i zachowując do użytku wewnętrznego dawną nazwę organizacyjną. Wcielane do ZWZ/AK oddziały mogły zachować kontakt z pionami społeczno-

DOKOŃCZENIE ZE STR.11

politycznymi organizacjami, do których poprzednio należały i które zasilaly je swoja praca. Cześć żołnierzy AK pozostawała nadal członkami partii i grup politycznych. Jednocześnie jednak wojsko jako takie miało być apolityczne. W ten sposób Armia Krajowa była armia obywatelska, złożoną z ludzi dysponujących pełnią praw obywatelskich, praw politycznych. Jednocześnie stawała przed trudnym problemem przełamania nieprzewidywalnej, zdawałoby się, sprzeczności pomiędzy różnorodnością scalonych lecz zachowujących swe cechy specyficzne "wojsków" a jednolitością wojska podziemnego, które - jak każde wojsko - winno łączyć nie tylko jednolite dowództwo lecz także *esprit de corps* powstający w wyniku długiego procesu wychowania, wspólnoty losu oraz wspólnego trwania w walce. Było to wojsko, które - zdawałoby się - postępuje tak, aby maksymalnie utrudnić sobie proces ujednolicenia zróżnicowanych jednostek organizacyjnych; zamiast postawić zapora owej różnorodności - otacza ją opieką. Wydawać się to może tym dziwniejsze, że to wojsko, z którym miało się zmierzyć: armia niemiecka i organizacje paramilitarne, takie jak SS, SA, SD itp. przypominały dobrze naciwiliony mechanizm, złożony z jednolitych, wręcz identycznych elementów - bez twarzy, wyrażających się najlepiej w "parademarszach", gdzie stą nog unosi się jak jedna noga i sto ramię bierze różniak jak jedno ramię.

Mimo to - a może właśnie dlatego? - owa, zdawałoby się, nie do pokonania sprzeczność została przełamana. W zderzeniu liberalizmu zasad z dyscypliną wojskową i realiami pola walki wytworzyło się w ciągu paru lat niepowtarzalne zjawisko "akowskiego patriotyzmu", rodzącego się wbrew poziałom i ponad podziałami, łączącego ludzi różnych przekonań i partii politycznych, różnych kręgów społecznych. Pomimo owej pracy partyjnej, pomimo długich nieraz tradycji samodzielnej pracy podziemnej pod określonymi, różnobarwnymi sztandarami.

Patriotyzm ten, obejmujący przede wszystkim te oddziały i tych ludzi, którzy zostali wcieleni do ZWZ/AK w latach 1940-1943, nie stał - jak się zdaje - w sprzeczności z "patriotyzmem lokalnym", poczuciem głębokiej wiary z własnym oddziałem, jego tradycją i dokonaniem.

Widać to bardzo wyraźnie na warszawskim przykładzie Grup Szturmowych Szarych Szeregów oraz oddziałów bojowych Tajnej Organizacji Wojskowej i PLAN-u, których żołnierze wcieleni zostali do jednostek Kedywu; Grupy Szturmowe na szczeblu KG, TOV i PLAN na szczeblu Okręgu Warszawskiego AK. Nie zapominając o swej najdawniejszej tradycji czuli się oni - i czują - jednocześnie (a czasem nade wszystkim) akowcami. Wyraziło się to m.in. spontanicznym protestem przeciwko uporczywemu określaniu przez niektórych publicystów akcji pod Arsenalem jako akcji Szarych Szeregów, gdy w rzeczywistości była to akcja zbrojna Kedywu KG AK.

Oczywiście proces scalania był procesem ciągłym i w wielu wypadkach nie został on nigdy zakończony, co powoduje, że "akowski patriotyzm" nie powstał. I tak np. w Warszawie poczucie odrębności zachowali w pełni ci żołnierze NSZ, których formalne scalenie miało się zacząć po rozkazie z 7 marca 1944 roku, a nigdy nie zostało dokonane. Mają też znaczne poczucie odrębności ludzi, z jednostek NOW, które dopiero w ciągu 1944 roku stawały się częścią Okręgu Warszawskiego AK. Natomiast duża rola integracyjna odegrało powstanie warszawskie.

Dzięki temu realizowała się w AK zasada jedności w wielości. Wspierała to mądra polityka wewnętrzna dowództwa akowskiego. I choć w wielu przypadkach była ona wypaczona przez dowódców niższego szczebla, nie rozumiejących różnicy między skoszarowaną wojskiem czasu pokoju czy żołnierzem na froncie walki regularnej a ochotnikami-konspiratorami, polityka ta dała w sumie zdumiewające wręcz efekty.

Przytoczę tutaj tylko jeden przykład realizowania tej polityki w postaci rozkazu gen. Stefana Roweckiego, który sprawy te stawiał w sposób zasadniczy. Rozkaz ten, nr 54 z grudnia 1941 roku przeznaczony był w praktyce dla całej kadry oficerskiej ZWZ (załączona do niego instrukcja nakazywała dać go do wglądu dowódcom i oficerom sztabu obezarów, okręgów i obwodów, a nadto polecała dostarczyć jak największej liczbie dowódców niższego szczebla). A więc dla tych, na których barkach opierała się akcja scaleniowa, tych, którzy mieli w przyszłości objąć dowodzenie w polu różnorodnymi pod względem politycznym oddziałami. W rozkazie tym generał "Grot" pisał między innymi:

"Wojsko nasze cechować musi demokratyzm, legalizm i apolityczność.

Podlegamy Naczelnemu Wodzowi, a przez niego Prezydentowi Rzeczypospolitej. Nie służymy żadnym osobom ani grupom politycznym czy społecznym. Jesteśmy w służbie sprawy nadrzędnej, wspólnej dla Narodu Polskiego. W szeregach naszych jest miejsce dla wszystkich Polaków, którym poczucie patriotyzmu wskazuje na konieczność wzięcia czynnego udziału w zbliżającej się walce.

Prawdziwy żołnierz, zachowując swoje przekonania, musi pamiętać, że wojsko nie jest terenem zdobywania zwłonek dla przekonań politycznych swego ugrupowania.

Kto nie potrafił swych przekonań politycznych podporządkować nadrzędnej idei obrony Kraju i zasadzie karności - ten nie może pozostać w szeregach kadry przygotowującej się do wchłonięcia masy żołnierskiej.

Dzie praca takich ludzi na stanowisku wojskowym przynosiłaby więcej szkody niż korzyści.

Obowiązek pełnego oddania się pracy we własnych szeregach nie oznacza, aby wojsko miało się zasklepić, skostnieć w swej fachowości i oddzielić murem od społeczeństwa. Wojsko, a w szczególności jego kadra, musi być świadome wszystkich przejawów życia publicznego, społecznego i politycznego. Musi rozumieć prądy nurtujące kraj, choć nie bierze w nich czynnego udziału" (podkreślenia moje - T.S.).

Rozkaz ten, nakazując kadrowi oficerskiej ZWZ nieangażowanie się w bieżące spory, nadawał jej również prawo do posiadania przekonań politycznych, mówił o potrzebie orientacji w sprawach politycznych, nakazywał wręcz postawę obywatelską.

c.d.n.



Muszę przyznać, że z pewnym niepokojem oczekiwałem chwili, kiedy do moich drzwi zastuka naczelnik i z właściwą sobie bezwzględnością zażąda kolejnego odcinka cyklu "Cytat miesiąca". Niepokój mój był uzasadniony: czas płynął, sterta przeczytanych pism rosła, a na odpowiedni cytat nie natrafiłem. W mojej głowie zakiełkowało straszliwe podejrzenie: "Czyżby zaczęli pisać poprawnie?"

Jednak niepokój mój rozwiął się jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki, gdy przeczytałem kilka wersetów ukazującego się od niedawna "Słowa Niepodległego", pisma - jak głosi wnieta - "Katolickiej Młodzieży Niepodległościowej". Kiedy zapoznałem się z kolejnymi czterema numerami tego periodyka, ogarnął mnie błogi spokój, a katastroficzna wizja nagłego zwolnienia zmieniła się w sielski obraz naczelnego poklepującego mnie po ramieniu ze słowami: "Widzisz, jak chcesz, to potrafisz".

Spośród wielu godnych zaprezentowania znalazłem wybrałem tylko dwa, moim zdaniem, najciekawsze przykłady radosnej twórczości redaktorów "Słowa Niepodległego" - pisma, które jak na razie najkulturalniej uniezależniło się od zasad poprawnego używania języka.

Cytat pierwszy, to ciekawostka historyczno-językowa odnaleziona w nr. 2 "SN". Czytamy tam, że: "We wczesnym średniowieczu na obszarach Litwy i Smudzi zaczęły się tworzyć organizacje plemiennie o demokratyczno-wojennym charakterze" (podkreślenie moje). Cytat drugi jest nieco makabryczny; w numerze 3-4 czytamy bowiem, iż w gróbach na miejscu kaźni katyńskiej odnaleziono zwłoki, na których były "ślady ran klutych, oraz polamane szczęki".

Gratuluje pomysłowości.

red. dyż.



cena 40zł.